Wpisano do kom... zbiorów
2 Rejonowej Biblioteki Publicznej
Łódź - Widzew
Dn. 4.X 19.68

Dziś w numerze: Książki są, arcydzieł nie ma • Szukać Paganiniego! • Elektronika i chemia robią książki • Morderca • Oczy kobiety • Wiersze • Felietony • Recenzje

odgłosu

MIEJSKA ORGANIZACJA ZMS W ŁODZI

40 (570)
6. X. 1968 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI

NOWY ROK AKADEMICKIEJ ŁODZI

Jest ich już ponad 20 tysięcy. Blisko 3.300 przejdzie przez dostojne progi po raz pierwszy, z debiutancką tremą w sercu, ze świeżym jeszcze wrażeniem emocji z egzaminów wstępnych. Przestąpią progi Uniwersytetu, Politechniki, Akademii Medycznej; naszych uczelni artystycznych: PWSM, PWSSP i PWSTiF. Staną się członkami społeczności, której przed wojną w naszym mieście nie było, która mogła się narodzić dopiero w wyzwolonym, socjalistycznym kraju, w wyzwolonej, socjalistycznej Łodzi, zapuszczając swe korzenie w niejałową przecież, rodną glebę.

Nowy rok akademicki! Nowe nadzieje! Tych 3.300 przesianych sprawiedliwie przez egzaminacyjne sita, to synowie chłopów, robotników, rzemieślników i inteligentów. Tych 3.300, to precyzyjniej niż dotychczas, uczciwiej wyważona proporcja pomiędzy kandydatami na studia z różnych środowisk społecznych, pomiędzy młodym pokoleniem, które w wielu wypadkach tak bardzo jeszcze zróżnicowane jest pod względem szans życiowych, startu i awansu społecznego.

Tych 3.300 wchodzi w życie akademickiej społeczności w ważnych dla kraju chwilach. Zbliża się V Zjazd PZPR, nadchodzi 50 rocznica uzyskania niepodległości przez nasz kraj, i 25 rocznica powstania Polski Ludowej. Wierzymy, że każdy z tej, niebagatelnej rzeszy studenckich beniaminków, a także wszyscy z tej niemałej, ponad dwudziestotysięcznej społeczności studenckiej w naszym mieście, że wszyscy w ogóle akademicy w Polsce — uczestniczą wraz z narodem w ważnych dla niego dniach, że mają na względzie jego dobro, rozwój, że przystąpili i przystępują do studiów po to, aby włączyć się do wspólnego wysiłku nas wszystkich, walczących o nową, socjalistyczną ojczyznę. Że zdają sobie sprawę z obowiązków, jakie na nich czekają i z szans, jakie mogła przed nimi otworzyć tylko Polska Ludowa.

Że otrzymali od kraju pożyczkę. Długoterminową. Ale do zwrotu.

KONRAD FREJDLICH

TRZEBA WYSOKO PATRZEĆ

Moim przewodnikiem był wysoki fabryczny komin z charakterystycznym zgrubieniem pod szczytem: ciężka, solidna konstrukcja. Snadź wzniesiona w latach, gdy takie budowle spełniały poważne, nie tylko topograficzne funkcje.

Zobaczyłem ten komin, gdy tylko wysiadłem z wagonu na radomszczańskiej stacji. Pociąg był dalekobieżny, bez pośpiechu potoczył się dalej, na Śląsk, którego rytm dał się wszakże wyczuwać i tutaj, na ruchliwej, przydworcowej ulicy.

Zakłady metalowe sąsiadują ze stacją. Jest tak od blisko stu lat, kiedy ruszyła kolej warszawsko-wiedeńska i kiedy francuska spółka akcyjna pobudowała tutaj, na przedpolach uprzemysłowionego Śląska, fabrykę zwaną wtedy krótko: METALURGIA.

Moim przewodnikiem był wysoki fabryczny komin. Na bramie przeczytałem nowe imię zakładów: KOMUNA PARYSKA. To określa wszystko — inna to tradycja, choć także francuska.

Po podróży w zatłoczonym wagonie chciałem nieco ochłonąć. Stanąłem przed portiernią, ale już na podwórcu fabrycznym i od wartownika odpaliłem sporta. Zapytał mnie:

— Pan także z województwa?

Skinąłem głową gapiąc się na niedużą, spalinową lokomotywę, która tu, na bocznicy, za bramą, ciągnęła trzy wagony w pejzaż cały z żelaza.

— Tu już wcześniej przyjechali z województwa autem — powiedział wtedy portier i wskazał mi drogę do świetlicy, gdzie przed godziną rozpoczęła obrady zakładowa konferencja partyjna.

Zobaczyłem charakterystyczny obrazek: długie, ciągnące się przez całą salę płaszczyzny zestawionych razem stołów i zasłany grubym suknem stół prezydialny, a dalej, ponad głowami delegatów, na skraju sceny z zasuniętą kurtyną dwa potężne wzmacniacze do gitar elektrycznych. Na mównicy stał Ignacy Kaczmarek, I sekretarz KZ PZPR i dobitnym, choć spokojnym głosem wygłaszał referat przygotowany na te obrady przez egzekutywę.

Zacząłem się przysłuchiwać postanowiwszy, że dopiero podczas przerwy zrobię sobie ściągę z tej części referatu, której już w inny sposób poznać nie mogłem. Na sali siedział miejscowy korespondent partyjnej gazety, bez słów porozumieliśmy się wzrokiem. Miał solidne notatki, żałowałem jednak, że sam nie mogłem usłyszeć wszystkiego.

Był to referat udany. Nie mnie to w końcu oceniać, ale słyszałem na własne uszy wcale nie grzecznościowe pochwały robotników. Był udany, skoro zakreślił kierunki poważnej, rzekłbym żarliwej dyskusji, namiętnej, bo z mównicy padło niejedno mocniejsze nawet słowo. Ludzie rąbali wprost, co ich boli i co ich cieszy, z czego są dumni. Rozumieli hierarchię spraw, dawali im wyraz w swoich wystąpieniach i długo nie chciała się skończyć kolejka mówców zapisanych do głosu.

Ledwie skończył swoje przemówienie brygadzista Wieczorek, który przejechał się po projektantach, źle jego zdaniem zaplanowanej bocznicy kolejowej, a już na mównicę wszedł kolejny dyskutant, przewodniczący zakładowej organizacji ZMS Wiaderek i już zapisywali się do głosu następni delegaci. Sala rozruszała się. Ludzie potakiwali głowami, albo wzruszali ramionami, gdy ktoś rozgorączkowany zaplątał się we własne wywody, pilnie notowali jakieś ważniejsze akcenty wystąpień, aby je potem poprzeć albo odparować. Nie chodziło tu o

Dalszy ciąg na str. 4

ŚWIATA

W Mongolii z wizytą przyjaźni przebywał przewodniczący Rady Państwa PRL — marsz. M. Spychalski. Była to wizyta, która potwierdziła całkowite zrozumienie i pełną zgodność poglądów obu krajów we wszystkich omawianych sprawach.

A omawiano i stosunki bilateralne, i sytuację międzynarodową, i jedność państw socjalistycznych.

Opublikowany komunikat o wizycie stwierdza zadowolenie obu rozmawiających stron z wyników spotkania oraz podkreśla zdecydowaną wolę Polski i Mongolii prowadzenia aktywnej polityki na rzecz międzynarodowego odprężenia.

Zjednoczonych rozpoczęła 24 ub. m. XXIII sesję tuacja w świecie i międzynarodowym ruchu robotniczym.

Rezultatem rozmów w Ułan Bator jest podpisanie protokołu o dostawach towarów i płatnościach na przyszły rok.

* * *

Licząca już 125 członków Organizacja Narodów Zjednoczonych rozpoczęła 24 ub. m. XXIII sesję Zgromadzenia Ogólnego. Porządek dzienny, jak zwykle, jest obszerny — obejmuje 99 punktów. Debata generalna i najważniejsze prace w komisjach rozpoczną się dopiero za kilka czy kilkanaście dni, ale już obecnie wzbudza ona zainteresowanie. Oczekujemy, i w tym kierunku zmierzają wysiłki krajów socjalistycznych, że będzie to sesja robocza i konstruktywna.

Stoi przed nią zespół problemów, począwszy od rozbrojenia przez Wietnam (choć problem ten formalnie nie znajduje się na porządku obrad) i konflikt bliskowschodni — po zagadnienia rozwoju gospodarczo-społecznego.

Najprawdopodobniej nie będzie to sesja łatwa i może charakteryzować się pewnymi napięciami. Jeszcze przed otwarciem sesji dyplomacja amerykańska prowadziła zakulisową działalność, której celem miało być przygotowanie ataku na kraje socjalistyczne, a przede wszystkim ZSRR.

Mimo, że rząd czechosłowacki — co przypomniał przed kilku dniami sekretarz generalny NZ, U Thant — wystąpił tuż po wydarzeniach sierpniowych z oficjalnym sprzeciwem przeciwko rozpatrywaniu tzw. sprawy czechosłowackiej przez Radę Bezpieczeństwa, a więc tym bardziej nie może się ona znaleźć na sesji plenarnej, co wyraźnie podkreślił na konferencji prasowej amb. Czernik — Stany Zjednoczone nie rezygnują z prób wykorzystania sytuacji. Chcą one w ten sposób odwrócić uwagę od nabolałego problemu wietnamskiego — swojej agresji, którą potępia zdecydowana większość państw członkowskich.

Można zresztą oczekiwać i tego, że dyplomacja USA w najbliższym czasie będzie miała na względzie przede wszystkim umocnienie pozycji kandydata partii demokratycznej na prezydenta. Będzie więc z pewnością powódź sloganów, zapewnień o „dobrej woli" USA itp. — natomiast żadnych konkretnych propozycji i zobowiązań. Zaciąży to niewątpliwie na przebiegu przynajmniej pierwszej fazy obrad.

Sesja Zgromadzenia Ogólnego, której przewodniczącym został gwatemalski minister . — Catalin, dokona zmian w składzie organów ONZ, a szczególnie Rady Bezpieczeństwa

W br. upływa kadencja: Brazylii, Danii, Etiopii i Indii. Na ich miejsca do Rady kandydują: Kolumbia, Finlandia, Hiszpania, Nepal, Zambia, a także Włochy, choć tej ostatniej kandydaturze nie daje się większych szans.

Wspomniałem o kampanii przedwyborczej w USA. Jak aktualnie przedstawia się sytuacja?

W wyścigu do prezydentury utrwala się przodująca pozycja Richarda Nixona, kandydata republikańskiego. Badania opinii publicznej wskazują, że obecnie ma on przewagę nad swym rywalem z partii demokratycznej — Humphreyem (43 proc. głosów wobec 31 proc.) i że może zapewnić sobie w listopadzie wymaganych 270 mandatów elektorskich. Wynika to stąd, że Humphrey identyfikowany jest z dotychczasową polityką Waszyngtonu. Sądzi się jednak, a takie oznaki są już teraz, że kandydat demokratów w miarę zbliżania się terminu wyborów zajmie bardziej samodzielną postawę, a tym samym utrudni pozycję Nixonowi.

Dużą pewność wykazuje kandydat trzeciej partii — segregacjonista George Wallace, dysponujący obecnie, żeby powołać się na ankietę Gallupa, 19-procentowym poparciem.

W wywiadach Wallace przechwala się: „Damy im dobrą szkołę w listopadzie". Słów tych nie można traktować zbyt poważnie, chociaż głosy jego zwolenników z południa mogą znacznie wpłynąć na wynik wyborów. Kto je otrzyma, albo precyzyjniej: komu Wallace może je zabrać?

Raczej Nixonowi niż Humphreyowi. „Trzeci kandydat" sam zresztą uznał Nixona za najniebezpieczniejszego przeciwnika. Rozumie to Humphrey, który koncentruje swą kampanię na północy kraju, gdzie wpływy Wallace'a są znikome. Można jednak zgodzić się ze słowami tego ostatniego: „Teraz już z nas się nie śmieją". Rzeczywiście — w tegorocznej kampanii Wallace coś znaczy. Nie daje to najlepszego świadectwa Stanom Zjednoczonym. Wskazuje wyraźnie, jak szybko narastają antyliberalne tendencje w krajach kapitalistycznych. Gwałt, przemoc i dyskryminacja — stały się powszechnymi cechami tzw. „wolnego świata".

A co słychać w Czechosłowacji?

Liczne doniesienia prasowe wskazują, że proces normalizacji trwa i pogłębia się, że nad tendencją do formalnego wypełnienia porozumienia moskiewskiego bierze górę tendencja rzeczywistej realizacji wspólnych ustaleń z KPZR. Przebiega to jednak w walce i nie bez oporów. Dlatego pilnie śledzimy doniesienia agencyjne z kraju południowego sąsiada — z radością odnajdując w nich pozytywne elementy.

W. SŁAWSKI

Dyskusja przed V ZJAZDEM

ROMAN SYKAŁA

Zaangażowanie ale jakie?

Surowa rzeczywistość przekonała nas o potędze środków masowego przekazu. Przekonaliśmy się jaką siłę posiadają, prasa, radio, telewizja, a także film. Nie dostrzegamy jeszcze, a może tylko sobie nie uświadamiamy jaką siłą dysponuje teatr w oddziaływaniu ideowym, w kształtowaniu światopoglądu, w urabianiu opinii publicznej. I o tym właśnie warto by podyskutować w okresie gorących przedzjazdowych polemik. Sięgnijmy tedy do historii. Burzliwe lata końca XVIII stulecia wykorzystywały teatr zawsze najbardziej postępowy, jako trybunę ideowego oddziaływania. Tradycje rewolucyjne mas ludowych ówczesnej Francji czy osiemnastowiecznej Polski znalazły swe odzwierciedlenie na deskach teatrów, głosząc swoją ideologię poprzez sztuki Beaumarchais czy Bogusławskiego... Trochę z wrodzonej przekory sięgnąłem do historii aż tak odległej, bo osiemnastowiecznej, a mogłem przecież wskazać na Łódź między wojenną, której teatr był zawsze teatrem walczącym, teatrem trybuną. Ale chcę uniknąć szablonowych porównań, demagogicznego pustosłowia i przejść od razu do teraźniejszości minionego dwudziestoczterolecia.

Po wojnie Łódź siłą faktu przeznaczenia historycznego zastąpiła stolicę, stała się rzeczywiście prężnym i bogatym ośrodkiem kulturalnym, skupiła najlepsze teatry, najdoskonalszych twórców, wielkich artystów teatru.,

Czy potem Łódź teatralna umarła? Czy cofnęła się w mroki „barbarzyństwa kulturalnego" — jak chcą niektórzy profesjonalni oceniacze? My, ludzie sztuki, związani z Łodzią nie tylko formalnie i etatowo, ale związani z tym miastem trwałymi więzami uczucia, my wiemy, że tak nie było i nie jest.

Łódź ma bogate tradycje teatralne, łódzka klasa robotnicza z teatrem jest związana — mówią o tym liczby (największa frekwencja w Polsce), a i co najważniejsze dla artysty, mówi o tym popularność aktorów, reżyserów, scenografów. Każda niemal premiera spotyka się z oceną wyrażaną w listach, dyskusjach. Łódź jest dla swoich artystów wymagająca, umie pochwalić, ale i umie bezwzględnie wychłostać. Będąc ciągle na cenzurowanym teatr w Łodzi musi być teatrem zawsze żywym i walczącym. Aktywizacja teatru może iść wieloma drogami, ale wymogi chwili obecnej wyznaczają jedną drogę. Łódź się rozrasta, powstają nowe dzielnice — miasta; do tych dzielnic powinien trafić teatr — np. poprzez granie całych spektakli w dobrze wyposażonych Domach Kultury. Zdajemy sobie przecież sprawę że wkrada się stabilizacja prowadząca do artystycznej entropii, do stagnacji i zobojętnienia, towarzyszy temu dobre rzemiosło, ale rzemiosło, letniość poczynań i samouwielbienie. A potrzeba nam gorącego zaangażowania, grzmiącego wodospadu, bowiem tam gdzie kwitnie przemysł, gdzie rodzi się nowa ekonomika, stawia coraz większe wymagania sfera nadbudowy, sfera oddziaływania poprzez sztukę i literaturę, a także poprzez satyrę. Dlatego wołam o teatr satyry, tak bardzo potrzebny dużemu miastu. Boć przecie satyra to broń ostra i chłoszcząca. Może stać się orężem także i w walce ideologicznej.

Zarówno Partia jak i władze miejskie zapewniły właściwy rozwój bazie ekonomicznej również i w kulturze, a zwłaszcza w teatrze. Wybudowały rzeczywiście monumentalny Teatr Wielki, marzenie łodzian sprzed pół wieku. I nie tu leży zło i przyczyny chwilowego, mam nadzieję, uśpienia. Zło leży w braku zaangażowania ze strony pisarzy dramaturgów — nie ma sztuk współczesnych, nie ma repertuaru współczesnego. A przecież „Partia oczekuje — czytamy w tezach na V Zjazd PZPR — od pisarzy i artystów dzieł związanych z życiem narodu, z pragnieniami i przeżyciami budowniczych Polski Ludowej, z dążeniami przodujących sił społecznych, decydujących o teraźniejszości i przyszłości Polski. (...) Literatura i sztuka powinny odzwierciedlać w nowym coraz bogatszym kształcie prawdę naszego życia. Należy zwiększyć wymagania wobec wszystkich instytucji kulturalnych zarówno w zakresie polityki repertuarowej i wydawniczej, jak i polityki kadrowej i ekonomicznej".

Wymagania słuszne, wykonanie tych postulatów powinno stać się naczelną zasadą każdego twórcy i to zarówno w literaturze, jak i teatrze, bo przecież — proszę wybaczyć nieco trywialne porównanie — tak jak piekarz chleba bez mąki nie upiecze, tak teatr bez dramaturgii właściwie nie istnieje, a proszę mi wierzyć, że na sztukę prawdziwie zaangażowaną, poruszającą najżywotniejsze problemy naszej rzeczywistości czekają nie tylko artyści, ale szeroka publiczność spragniona dobrego, politycznego teatru. W tej sytuacji braku „mąki" kierownictwa teatrów w wielu wypadkach wpadły na zbawienny moim zdaniem pomysł, kreując się inspiratorem w stosunku do pisarza dramaturga, faktem jest, że byłoby idealnie, aby ta inspiracja mogła iść w parze ze swoiście pojętą rolą teatru jako mecenasa, mecenasa w najszerszym rozumieniu tego słowa. Aby mecenat tak szczytnie pojęty nie był tylko pustosłowiem, proponuję rozpisać konkurs na sztukę współczesną związaną z Łodzią — ośrodkiem robotniczym o bogatych tradycjach rewolucyjnych. Sądzę, że każdy z teatrów zapewni sztukom nagrodzonym i wyróżnionym prawykonanie.

I tu dochodzimy do zasadniczego problemu, do problemu zaangażowania. My świadomi ludzie teatru zaangażowanie rozumiemy jednoznacznie. Swoją twórczością budujemy socjalizm, umacniamy władzę ludową. Ale nasi wrogowie posługują się tym samym określeniem, ale coś innego podstawiają sobie pod zaangażowanie. Dla nich angażować się znaczy występować przeciwko socjalizmowi, przeciwko Polsce.

W tej sytuacji pod mianem zaangażowania powinniśmy rozumieć także walkę ofensywną, atakującą. Dlatego przede wszystkim od pisarza oczekuje się — jak to powiedział I Sekretarz KŁ PZPR, tow. Spychalski — dialogu komunisty artysty z samym sobą. Z tą postawą moralną świadomego twórcy piszącego dla teatru, wiąże się również problem właściwego doboru kadr reżyserskich w teatrach.

Na złą politykę w tej mierze nie bez słuszności narzeka prasa wojewódzka. Tymczasem tajemnicą poliszynela jest fakt niechęci ze strony renomowanych twórców do pracy na gościnnych, lecz odległych scenach miast w Polsce. Decydują tutaj dwa aspekty, pierwszy to tradycyjne unikanie „terenu", drugi to sprawa czysto merkantylna i ta ostatnia chyba decyduje o unikaniu miast tzw. „poza domem".

A przecież, powiedzmy sobie szczerze, że zasadniczym zadaniem ludzi teatru zarówno w Łodzi, jak i w innych miastach Polski jest zaktywizowanie wszystkich środków do bardziej ekspansywnego oddziaływania teatrów, do ciągłego zaostrzania form kształtujących światopogląd mas w duchu patriotyzmu i internacjonalizmu socjalistycznego. Jest to trudna i odpowiedzialna droga, ale jak kiedyś powiedział Julian Tuwim: „Do socjalizmu biegnie się w siedmiomilowych butach tylko przez pierwsze dni rewolucji. Potem trzeba zdobywać centymetr po centymetrze".

ZDZISŁAW KONICKI

O dalszy rozwój kultury masowej w Łodzi

Zupełnie niepostrzeżenie przeleciała w Łodzi rocznica 100 lat istnienia Łodzi, jako MIASTA POWIATOWEGO! (1967). Zbyt mało przygotowuje się ŁÓDŹ, właśnie Łódź, do tak ważnej rocznicy, jak 50 LAT ISTNIENIA ŁODZI JAKO MIASTA WOJEWÓDZKIEGO (1969)... zapewne władze wojewódzkie o tym pamiętają, a przecież to my łodzianie — powinniśmy być dumni z tego, że to nasza Łódź przoduje w pracy i walce przez te 50 lat w całym województwie! 100 lat od śmierci Iry Aldridge'a — murzyńskiego aktora światowej wówczas sławy, także przeszło w ubiegłym roku, bez właściwego echa, a przecież istnieje jeszcze dom w którym zmarł (Piotrkowska 177), na którym można umieścić tablicę, a może nawet dwujęzyczną? Takich przykładów z ostatnich lat i na najbliższe lata, jako miłośnik Łodzi — mogę podać więcej!

Nie ma dotąd opracowanego DIARIUSZA KULTURY POLSKIEJ W ŁODZI. Jak coś w tym rodzaju jest Łodzi potrzebne — wiedzą o tym dobrze działacze kulturalni, społecznicy z prawdziwego zdarzenia; nie można się było dotąd uporać nawet z METRYKĄ URODZENIA ŁODZI... Jedni podają rok 1414, drudzy 1423 — daty lokowania miasta, jeszcze inni sięgają do roku 1300, około którego miała powstać nasza Łódź. Zdecydujmy się wreszcie, którą datę uznać i miejmy wreszcie własny, łódzki jubileusz — wtedy i zapewne cała Polska zwróci na nas baczniejszą uwagę. Ostatnio „Express Ilustrowany" w Łodzi podejmował dyskusję na ten temat, niestety, skończyło się na kilku wypowiedziach krajoznawców łódzkich, z władz miejskich, ludzi kultury — nikt się nie odezwał, a szkoda, bo przecież stąd winny iść inspiracje i propozycje. Brak nam ogólnołódzkich dyskusji kulturalnych, właśnie z robotnikami, z rencistami, z tak zwanymi starymi łodzianami. Pozostają, jak dotąd tylko dyskusje środowiskowe, które są zwykle zamknięte i szerszym oddźwiękiem nie zapładniają całego środowiska kulturalnego Łodzi.

Od kilkunastu lat postuluję władzom miejskim — DNI ŁODZI. Jak dotąd, pozostaje to w sferze pobożnych życzeń miłośnika Łodzi. Weszłyby tu na stałe w pewnym określonym czasie — imprezy, które i tak już się od lat u nas odbywają. Powinny tu mieć miejsce spotkania, i konkursy poetyckie, baletowe, teatrów lalkowych, ciekawe imprezy kulturalne, wystawy malarskie, wystawy rzeźby, imprezy handlowe — targi, giełdy włókiennicze, imprezy krajoznawcze, turystyczne i sportowe. Mamy przecież w Łodzi coś do sprzedania i w dziedzinie kultury, handlu i nawet turystyki, mamy przecież coś do pokazania i zagranicznym wycieczkom — zabytki klasycystyczne starej Łodzi fabrycznej, nowe obiekty kultury socjalistycznej — Pałac Sportowy, Teatr Wielki, Bibliotekę Uniwersytecką, osiedla studenckie, wreszcie kilkadziesiąt nowych, a nieraz i ciekawych osiedli mieszkaniowych! Niestety, jak na razie wie o tym mała grupa entuzjastów Łodzi, zrzeszona w Towarzystwie Przyjaciół Łodzi czy PTTK — organizacjach, które jak na tak wielkie miasto — wcale nie są towarzystwami masowymi, a szkoda.

Wreszcie, od lat — wyłania się w Łodzi problem ŁÓDZKICH POMNIKÓW — tych, których nam brak. Nie uczciliśmy dotąd ludzi zasłużonych dla Łodzi i łódzkiego okręgu przemysłowego — sławnych Polaków — Staszica, Rembielińskiego, Reymonta, Wandurskiego i innych. Mamy przecież sporą grupę artystów rzeźbiarzy, a i młodzież artystyczna dorasta. Niestety, jak dotąd nie rozwiązano problemu wystawowego: — właściwego salonu na europejskim poziomie! Brak ogólnołódzkich, czy dzielnicowych dyskusji kulturalnych. Dyskusje giną gdzieś w parkach czy kawiarniach... Weterani 1905 roku — chcieliby jeszcze za życia zobaczyć jakiś okazały pomnik i to w centrum miasta, np. na Wodnym Rynku — placu Zwycięstwa, który przez tyle lat był w Łodzi symbolem walki komunistów, socjalistów, patriotów — walki o narodowe i społeczne wyzwolenie. Zamarła także dyskusja w „Odgłosach" łódzkich, nad potrzebą pomnika Reymonta. Nikt nie podsumował naszych głosów i nie wyciągnął wniosków ani ręki do pracy. Czekamy już też kilka lat na obelisk (niestety ma być tylko w bryle cementu) — poświęcony prześladowaniom dzieci polskich, rosyjskich, czeskich i francuskich w okresie okupacji niemieckiej na Dołach. Mamy ponad 70 (słownie siedemdziesiąt, a więc więcej niż w starszym Krakowie...) tablic pamiątkowych w Łodzi, a pomników, rzeźb ozdobnych w parkach — stanowczo za mało, a przecież i one uczą co krok, historii kraju ojczystego, uczą estetyki i umiłowania swego miasta, kraju.

Łodzianie — obudźmy się, zadbajmy o centralne place, przywróćmy im charakter nie jednokrotnie zabytkowy, który ginie, gdy tworzy się na nich parkingi czy dworce autobusowe... (przykład plac Wolności, plac Barlickiego... i wiele innych). Łodzianie, podyskutujmy i do czynu!

JAN KOPROWSKI

Książki są arcydzieł nie ma

Wiadomo nie od dziś, że zjazdy i narady, choćby nawet najlepiej zorganizowane i najsprawniej przebiegające, nie są w stanie rozstrzygnąć i załatwić wszystkich problemów od razu. Ani od razu, ani trochę później. Służą one raczej ludziom jako forum, ustalające kierunki i cele działania, a także stanowią dobrą okazję po temu, aby się porozumieć, dokonać wymiany myśli, sprecyzować i uściślić pojęcia. Każde działanie wymaga czasu, a cóż dopiero twórczość artystyczna, której oprócz czasu, potrzeba jeszcze spokoju i odpowiedniej aury polityczno-społecznej. Mówienie, że literatura wymaga perspektywy, nie jest wykręcaniem się od obowiązków, lecz szukaniem sposobnego punktu czasowego do oceny minionych wydarzeń. Jeśli na domiar są to wydarzenia o szerokim zasięgu społecznym i narodowym, jeśli są to historyczne kataklizmy takie jak wojna i okupacja — oddalenie czasowe gra tu niepośrednią rolę. Olgierd Terlecki wypowiedział w swoim referacie piękne słowa: „Powieść nie napisana we właściwym dla niej czasie, często nie ukazuje się już nigdy. Impulsu zasadniczego nie można mechanicznie powtórzyć". Ale właśnie chodzi o to, aby wyczuć ten czas właściwy i odnaleźć dla swego dzieła sprzyjające warunki realizacji. Pora w tym miejscu powiedzieć, o jaki referat chodzi, gdzie i kiedy wygłoszony. W dniach 25 i 26 września br. odbyła się w Warszawie, z inicjatywy Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich i Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego, sesja poświęcona „omówieniu dorobku współczesnej literatury polskiej o tematyce patriotycznej i obronnej". Poza wspomnianym już Olgierdem Terleckim, który mówił o udziale Polaków w drugiej wojnie światowej na Zachodzie i odbiciu tego faktu w naszej literaturze, referaty wygłosili: prof. dr Jan Zygmunt Jakubowski („Miejsce literatury patriotyczno-obronnej w prozie i poezji polskiej"), Stanisław Ryszard Dobrowolski („Poezja walki"), Stanisław Zieliński („Kampania wrześniowa w prozie polskiej"), Lesław B. Bartelski („Obraz literacki walki zbrojnej w czasie okupacji"), Alojzy Sroga („Czyn zbrojny Ludowego Wojska Polskiego na podstawie wspomnień i pamiętników") oraz płk. Zbigniew Załuski („Współczesne Wojsko Polskie w literaturze").

Jak widzimy, materiał referatowy obfity, dający sporo możliwości zarówno do dyskusji jak i do przemyśleń po zjeździe. Żeby uczynić zadość powinności kronikarskiej dodam jeszcze, że z Łodzi wzięli w tej sesji udział Wacław Biliński, Wiesław Jażdżyński oraz piszący te słowa, a w dyskusji, chwilami ożywionej i cennej, wypowiadali się Jan Szczawiej, Ernest Bryll, Przemysław Bystrzycki, Jan Dobraczyński, Wacław Biliński, Wanda Żółkiewska, St. R. Dobrowolski, Marek Sadzewicz i dr S. Kania. Sesję pięknie zagaił Jarosław Iwaszkiewicz („Literatura i wojsko to dwie potęgi", powiedział on m. in.), słowo końcowe wygłosił Wojciech Żukrowski, a ze strony wojska zwięźle i rzeczowo przemówił generał dywizji J. Urbanowicz.

Zawsze, ilekroć myślę o sprawach patriotyzmu, przypomina mi się, wydane w 1880 roku w Wilnie dziełko Elizy Orzeszkowej pt. „Patriotyzm i kosmopolityzm", które do dziś nie utraciło swego znaczenia, choć świat poszedł tak daleko i tyle przewaliło się katastrof nad nami. Jako składowe części pojęcia patriotyzmu Orzeszkowa wymienia pracę, poświęcenie, prawdę i odwagę. Zasłużona autorka „Nad Niemnem" mówi również w swoim dziele o przyczynach antypatriotyzmu (pierwsza chyba użyła tego słowa „antypatriotyzm") z właściwą sobie dokładnością, obrazowo i przejrzyście. (Uwaga pod adresem wydawców: czy nie należałoby tej pracy wznowić? Zapewniam was, że pod wieloma względami jest ona wręcz znakomita). Myślałem o Orzeszkowej i innych naszych pisarzach, gdy przemawiali prof. J. Z. Jakubowski i poeta Stanisław R. Dobrowolski, albowiem obaj wiele poświęcili miejsca tradycji walki i żołnierstwa w naszej literaturze. Można by bez obawy popadnięcia w przesadę powiedzieć, że nie było chyba na przestrzeni dziejów naszych, pisarza, który by nie podejmował w swej twórczości spraw, związanych z walką narodu o wolność. Nawet prozaicy i poeci, dalecy od tych tematów, w chwilach dla kraju trudnych i przełomowych oddawali talent swój w służbę powinności obywatelskiej i patriotycznej. Jest to bez wątpienia cecha wyróżniająca naszej literatury, nie zawsze właściwie rozumianą przez narody szczęśliwsze, których historia potoczyła się inaczej, niż nasza. Nie ma to jednak nic wspólnego z militaryzmem. Słusznie zwrócił na to uwagę Ernest Bryll. Polska poezja patriotyczna, poezja żołnierska miała zawsze charakter raczej obronny, ludzki, często — dolorystyczny. Gdyby z wierszy poetów polskich ułożyć wielką antologię, okazałoby się, że są to wiersze i pieśni, których motywem przewodnim — trud i nieszczęście, klęska i ofiarność, niedola i rozłąka, tęsknota i desperackie bohaterstwo. Jest to więc poezja humanistyczna, współczująca, w żadnym wypadku — gloryfikująca walki orężne, uczucia nienawiści czy podboju.

Synkowie moi, poszedłem w bój
Jako wasz dziadek a ojciec mój —

pisał w czasie pierwszej wojny światowej Jerzy Żuławski.

Ze spuszczoną głową, powoli
idzie żołnierz z niemieckiej niewoli —

pisał w czasie II wojny światowej Władysław Broniewski. Wypowiedzi tych dwu poetów z dwu wojen światowych należy uznać za wspólny rys bodaj wszystkich autorów polskich, piszących o wojnie. W wierszach frontowych, partyzanckich, w wierszach o wojnie cywilnej nie ma nic z krwiożerczości, nic z zapiekłej nienawiści, nic z militarystycznej żądzy odwetu. Ten głęboki humanistyczny sens polskiej poezji walki, poezji patriotycznej nie został dostatecznie upowszechniony, zwłaszcza wśród młodego pokolenia, i szkoły a także organizacje młodzieżowe miałyby tu niejedno do zrobienia. Zarówno referenci jak i dyskutanci omawianej sesji zgodni byli co do tego, że nie mamy do tej pory dzieła literackiego (powieści, sztuki, zbioru opowiadań), które by w sposób możliwie pełny odtworzyło dramat ostatniej wojny. Nie mamy wybitnej książki o okupacji hitlerowskiej w Polsce, o walkach partyzanckich. Nie mamy wybitnego dzieła o bohaterstwie naszych żołnierzy na Wschodzie i na Zachodzie. Nie mamy również wybitnego filmu i wybitnego utworu teatralnego o tych wydarzeniach. Czy brak nam talentów? Czy właściwy czas jeszcze nie nadszedł? „Sól ziemi", najwybitniejsza powieść o pierwszej wojnie światowej, ukazała się w osiemnaście lat po jej zakończeniu. Po ostatniej wojnie minęło już lat dwadzieścia trzy. Istnieje więc perspektywa, a i talentów literackich mamy pod dostatkiem. Gdzież więc szukać przyczyn tego zjawiska? W samych pisarzach? Na pewno. Poza nimi? Niewątpliwie.

Druga wojna światowa, los narodu pod okupacją, w obozach koncentracyjnych, na frontach wschodnich i zachodnich były niezwykle trudne. Dla pisarza problematyka ta nieżona jest rozlicznymi komplikacjami. Zresztą nie tylko my nie dysponujemy wielkim dziełem. Nie dysponują nim również literatury inne, na które tak chętnie lubimy się powoływać.

Sesja postawiła pytania, ale nie odpowiedziała na nie. I nie mogła odpowiedzieć. Była to pierwsza sesja tego rodzaju. Alojzy Sroga, omawiający wspomnienia i pamiętniki wojenne, i Olgierd Terlecki, który zajął się losami Polaków na Zachodzie, wyrazili nadzieję, że dotychczasowe osiągnięcia literatury polskiej stanowią dobrą glebę dla powstania prawdziwych arcydzieł, godnych żołnierskiego bohaterstwa. Ale czy i kiedy arcydzieła te powstaną, tego nie wiedzą również sami twórcy.

WACŁAW BILIŃSKI

Szukać Paganiniego!

Na marginesie pewnej sesji

1.

Przeto nie ma arcydzieł — jak twierdzi Jan Koprowski — i łatwo się z nim zgodzić: bowiem arcydzieło to taka książka, która wraz z dziewięciu innymi pan Jan zabrałby na bezludną wyspę (słyszałem jak kiedyś to mówił, czytałem jak kiedyś to pisał). Wśród jego wybranych dziesięciu tomów nie byłoby książki o wojnie — o tej minionej, polskiej wojnie. Pewnie, po cóż zabierać na bezludną wyspę takie książki, czyż nie wystarczy brzemię naszej okaleczonej wojną świadomości? Gdybym odjeżdżał na bezludną wyspę nie zabrałbym żadnej książki o wojnie. Nawet gdyby była arcydziełem. Książki o wojnie — jak mi się zdaje — są potrzebne tylko wtedy, gdy czeka nas współżycie z ludźmi w ostrej gromadzie narodów.

2.

Kryteria Jana Koprowskiego — owe dziesięć wybranych tomów — wydają mi się niezbyt precyzyjne. Czym jest więc w literaturze arcydzieło?

Po pierwszej wojnie literatura pacyfistyczna zaskoczyła świat lawiną arcydzieł. Wymieńmy parę nazwisk: Barbusse, Dos Passos, Remarque, Hemingway. Kto zna dziś Barbusse'a? Kto uważa „Ogień" za arcydzieło? Kto waży się taką miarę przykładać do jakże łatwo zapomnianych książek Dos Passosa. „Na Zachodzie bez zmian" wyblakło, straciło siłę, ekspresję. W ostatniej „Kulturze" o „Pożegnaniu z bronią" możemy przeczytać opinię amerykańskiego krytyka. Oto ona: ta książka... „zestarzała się i zgrabiała".

Niedawno kupiłem w antykwariacie „Nadzieję" Malraux. Dlaczego kiedyś czytałem tę książkę z wypiekami, dlaczego była mi objawieniem i przyprawiała o tak silne emocje? Przecież uznano ją za arcydzieło i była arcydziełem (jeśli zważymy jak silnie działała na czytelnika). Dlaczego więc razi nas dziś manieryzmem? Dlaczego książka z nominacją na arcydzieło z roku 1938, w roku 1968 nas nudzi? I cóż to za arcydzieło, które żyje tylko trzydzieści lat?

„Sól ziemi" Wittlina, tak wysoko oceniona przez Koprowskiego, to inna świetna książka, której żywot był krótki: zresztą i za „swojego czasu" nie znalazła ona czytelnika. A dziś szeleści papierem, odstręcza trudna dla współczesnego czytelnika — aż przykro nazwać rzecz po imieniu — pretensjonalną formą.

Cóż zostało z polskich książek o tej tematyce. Wittlin — jak chce Koprowski? Parę zupełnie już nie czytanych książek Struga? Piśmiennictwo pamiętnikarskie typu „Sławoj"? Gałązka Rozmarynu?

Mało tego, bardzo mało: i w sensie ilościowym i jakościowym. Zaiste jest to paradoks: międzywojenne dwudziestolecie w literaturze światowej było zafascynowane czy raczej obciążone tematem wojny. A Polacy, żołnierze wszystkich wojen, tematu tego raczej unikali. Dlaczego? Oto pytanie z zakresu psychologii twórczości — a może i z zakresu psychologii warszawskiej (bo nadającej ton) kawiarni literackiej.

3.

Czy powstały arcydzieła pisarskie o drugiej wojnie światowej?

Na Zachodzie — jak twierdzą krytycy — brak takich dzieł. Epopeja Sartre'a była źle przyjęta. Kontrowersyjny Malaparte. Nieudany Hemingway (Za rzekę, w cień drzew). Potem Mailer, zrazu okrzyczany, a następnie oceniany coraz nieprzychylniej. I wiele, wiele płaskiej łatwizny w rodzaju „Młodych lwów", książki rozreklamowanej — i wkrótce przez krytyków zdyskwalifikowanej.

Poza tym — niewiele więcej.

A na Wschodzie?

Krytycy radzieccy, z trudem radząc sobie z lekturą, której w omawianym temacie urodzaj jest wielki, dotychczas nie awansowali do rangi arcydzieł ani Niekrasowa ani nawet Simonowa. Czekają — tak jak Jan Koprowski — na książki, które zostaną napisane. Grymaszą.

A tymczasem polski czytelnik ma również kłopoty — całkiem jak z truskawkami — z urodzajem. Bo książek o wojnie jest wiele i wiele wciąż przybywa. Temat to zdaje się obsesyjny. Piszą ekskombatanci, piszą młodzi „wizjonerzy". Z zapisanego papieru powstaje obraz wojny, bogaty choć często niewierny w szczegółach a także — niestety — nie zupełnie wierny w ocenach syntetycznych. Czy jest to jednak ważne, istotne? Kto dziś rozważa na serio realia sienkiewiczowskie, historyczną wierność opisu Tołstoja. Wizję pisarską zdaje się obejmować licentia poetica.

Więc Wrzesień — to Żukrowski, Zieliński i najbardziej kontrowersyjny: Putrament, notabene opisy bitew z „Dni klęski" należą do najpiękniejszej literatury batalistycznej jaka zrodziła się pod piórem Polaka.

Więc okupacja — to Borowski, Andrzejewski, Czeszko a także coraz liczniej wydawane pamiętnikarstwo.

Więc krwawy okres powojenny, okres walki o władzę, że wymienimy dwa tylko tytuły: „Popiół i diament", „Kolumbowie".

Czy są to arcydzieła? Czy tylko książki o trwałej wartości?

4.

Najskromniej, by nie powiedzieć, najubożej przedstawia się w naszej literaturze powieść o I i II Armii. Rzecz to wstydliwa, lecz czyż obciąża ona tylko pisarzy?

Jestem przekonany, że wartościowym utworom o tej tematyce drogę przegrodziła krótkowzroczna koncepcja literatury „użytkowej". I barykady schematów. Pisarzom zabrakło sił by przeszkody te sforsować. Czasem barykady stoją po dziś dzień.

W powieści o I i II Armii musiałby wystąpić jako postać główna polski komunista rozliczający się wewnętrznie z okresem lat 1937—1941, a także z czasem wojny domowej w Hiszpanii. Postaci takiej nie ma w całej naszej literaturze współczesnej. Musiałby wystąpić i tragiczny w swej bezwiedzy chłop wołyński wracający zza kręgu podbiegunowego. Postaci takiej nie ma w całej naszej literaturze współczesnej. Akowiec z kart wielkiej powieści musiałby przemówić innym niż dotąd głosem, musiałby zatracić cechy postaci papierowej i nabrać znaczenia intelektualnego. Postaci takiej nie ma w całej naszej literaturze współczesnej. Pisarz musiałby ukazać i Rosjanina — nie laurkową figurę bez znaczenia, a żywego autentycznego człowieka, pełnego właściwych mu sprzeczności, skorego do miłości i nienawiści w bohaterstwie patetycznego — a zaraz potem tylko naiwnego czy gwałtownego. Postaci takiej nie ma w całej naszej współczesnej literaturze. Wreszcie, obok tych co nie wahali się rzucać swego życia jak „kamieni na szaniec" należałoby ukazać ludzi których ambicyjki i megalomania już wówczas stawały się zapowiedzią późniejszych rozdroży politycznych i dezercji. Nie ma tych sylwetek w naszej literaturze współczesnej.

5.

A więc — zadanie ponad siły? Książka, która nigdy nie zostanie napisana? Czy może sprawa nie na dzisiaj, sprawa przyszłych pokoleń o wiedzy wzbogaconej otwartymi po pół wieczu archiwami?

Jest taki stary, żydowski kawał. W cyrku, pod wysoką kopułą namiotu, po rozpiętej linie akrobata jeździ na rowerze i gra jednocześnie na skrzypcach. Na widowni siedzi pewien kupiec bławatny wraz z żoną i znudzony, mówi: „Wiesz, Paganini to ten rowerzysta nie jest!"

Czekajmy przeto na Paganiniego.

TRZEBA WYSOKO PATRZEĆ

Dalszy ciąg ze str. 1

wybicie własnych racji ani udowodnienie, że przedmówca w jakiejś ocenie się myli — liczyły się w tej dyskusji racje zakładu, sprawie jego przyszłości, jego rozwoju i jego codziennej pracy podporządkowane były wszystkie wystąpienia. Ludzie wychodzili z konkretnymi, przemyślanymi problemami, bo to zebranie, na którym mieli wybrać swojego delegata na V Zjazd partii poprzedziły narady w węższym gronie, „małe Kaesery", w oddziałowych organizacjach i w grupach partyjnych. Ich rezultatem było 70 wniosków produkcyjnych i socjalno-bytowych i wielomilionowej wartości czyn zjazdowy podjęty przez całą, liczącą 2.400 osób załogę.

Z przyjemnością wysłuchałem głosu tow. Wiaderka, przedstawiciela młodzieży, kiedy dopominał się o poważniejsze traktowanie stażystów, absolwentów przyzakładowej szkoły zawodowej i kiedy potem z równym zapałem akcentował potrzebę rozwinięcia pracy kulturalno-oświatowej z młodzieżą.

Kiedy skończył, nie dałem mu odetchnąć i zaraz usiedliśmy sobie na boku, bo chciałem sobie tę młodzieżową problematykę pogłębić i ciekaw byłem z drugiej strony, jak te wszystkie przemiany w zakładzie, o których mówił referat, odbijają się w świadomości młodego człowieka. Przewodniczący Wiaderek nachylił się do mnie, aż mu włosy opadły na czoło i powiedział ściszonym głosem:

— Pracuję tutaj jedenaście lat.

Zaczął na stanowisku ślusarza, potem jednak ukończył technikum i zdobył zawód technika-mechanika. Pracą organizacji ZMS w zakładzie kieruje już przez dwie kadencje. W jej szeregach zrzeszona jest połowa młodych robotników zakładów.

Przyszedł do pracy w „Komunie Paryskiej", kiedy zakłady nie zadowoliwszy się stanem posiadania przejętym po „Metalurgii" weszły na drogę gwałtownej rozbudowy.

— Jak to wyglądało? — Zawahał się i po chwili znów szeptem: — Po prostu na moich oczach powstały nowe hale: gwoździarnia, liniarnia, hala wyrobów z drutu, hala konstrukcyjna. I może jeszcze tak: w zakładach zorganizowano komórkę SOWI. Samodzielny Oddział Wykonawstwa Inwestycyjnego. Bo zupełnie nie można sobie było poradzić z firmami budowlanymi, gliwicką i łódzką, które zawalały robotę. Trzeba to było wziąć w swoje ręce.

Uśmiechnął się do własnych myśli i znowu szepnął.

— Średnia płaca skoczyła z 1200 na 1700 zł. To chyba także ważne.

Mówił jeszcze o urządzeniach socjalnych, budowie ambulatorium i o ośrodku wypoczynkowym w Sierpi, o dwóch blokach zakładowych dla załogi, i budownictwie spółdzielczym. Potem spojrzał na mnie z wahaniem, coś rozważał, aż mówi:

— Ale jest i mankament. Powiem szczerze, sprawy kulturalne.

Opowiadał z przejęciem nie dbając o komunikatywność, jakbym od dawna znał to, co chciał mi przekazać, więc dopiero po chwili uchwyciłem wątek.

— Zespół gitarowy ćwiczy. To dobrze, prawda? Ale mamy prócz tego dwa saksofony, kornet, akordeon, kontrabas i pianino. Wszystko zamknięte na kłódkę. Bo nie ma chętnych. I to mnie złości.

Ucichł i obaj wpatrzyliśmy się w mównicę, na której stanął niemłody już robotnik, Henryk Kaczmarczyk. Mówił o cynkowni, ale tak jak czuły ojciec opowiada o swych dzieciach. Z przejęciem, troską, z nadzieją, autentycznym robotniczym językiem.

Zwierzył mi się potem.

— Tego co czuję, to napisać nie umiem, ale powiedzieć potrafię. Gdzie się tak nauczyłem też nie wiem, ale pracuję tutaj już trzydzieści pięć lat.

Typowa biografia robotnika starszego pokolenia, jakich wiele zatrudnionych jest w „Komunie Paryskiej".

Z walką o byt zapoznał się po powrocie z wojska na robotach publicznych pod Radomskiem. Tłukł kamienie na szosie, chleb był to ciężki i niepewny, sezon się kończył a z nim nadzieja na zarobek. Przez cały rok pracować można było tylko w „Metalurgii", ale tam wystawały pod bramami setki chciwych pracy mężczyzn. Kaczmarczyk starał się o robotę w „Metalurgii" 5 lat, aż przyszła upragniona chwila, wzięto go do ciągarni. I tak, aż do wybuchu wojny pracował jako ciągacz. Potem został zmobilizowany i walczył w obronie Warszawy. Niewoli udało mu się uniknąć, wrócił do Radomska i dostał pracę przy odgruzowywaniu, a kiedy to się skończyło zaczepił się w magazynach zbożowych.

W czterdziestym pierwszym zmarła mu żona, trójka dzieci była ledwie od ziemi odrośnięta, najmłodsze miało trzynaście miesięcy.

Potem przyszło wyzwolenie.

— A tak, mój kochany, potem przyszło wyzwolenie. Trzeba było uruchomić zakłady, a nie było ludzi, nie było majstrów, nie było inżynierów, po Francuzach i Niemcach śladu nie zostało.

Znów udało mu się wpaść w ton swobodnej gawędy. I opowiedział mi tak swobodnie całą swoją zawodową karierę wymieniając wszystkie działy w zakładzie, przez które przeszedł, wszystkie funkcje, które pełnił, aż doszedł do cynkowni.

— Ta cynkownia to najcięższy odcinek pracy. I jeśli o niej mówiłem to dlatego, że robotnik ma dzisiaj coś do powiedzenia. A tak, mój kochany, wy tego nie rozumiecie młodzi, możecie co najwyżej zrozumieć, że kiedyś pracowało się w tym zakładzie na kilogramy, a teraz pracuje się na tony. Ale to po prostu postęp techniczny. A co czujemy my, starzy robotnicy, czy mój kochany, może pan to zrozumieć? I powiem panu: mamy ten głos. On się liczy i daje nam moralne zadowolenie. I więcej powiem. Przecież Gomułka za nas tego, co tu w zakładzie mamy uporządkować, nie wymyśli, ma na swojej głowie poważniejsze sprawy. Sami musimy to zrobić, bo po to tu jesteśmy, na tej sali i w ogóle.

A w dyskusji, chociaż kolejni mówcy nie mogli słyszeć naszej rozmowy, podnoszono te właśnie sprawy, które wymagają uporządkowania. Choćby sprawę wagonów, niezbyt regularnie podstawianych przez PKP, na domiar nie tak rzadko popsutych. A to drzwi się kolebią, to deski połamane w podłodze, więc ludzie z „Komuny Paryskiej" biorą się sami za remont, bo wiedzą, co to znaczy choćby godzina zwłoki w eksporcie.

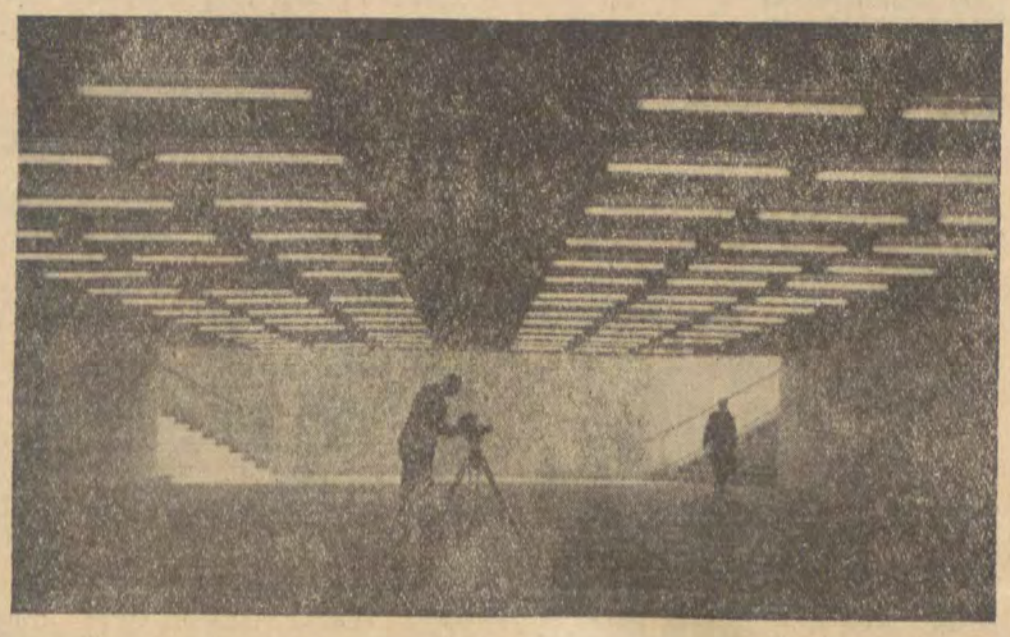

Fot. Marek Gorzuch

Potem dyrektor Filipczyk podsumował dyskusję, punkt po punkcie, ustosunkował się na gorąco do niektórych wypowiedzi, inne sprawy obiecał przemyśleć.

I wtedy nastąpił moment najważniejszy: prezentacja kandydata, którego miano wybrać delegatem na V Zjazd partii. Z mównicy odczytano charakterystykę, a na sali podniósł się starszy już wiekiem robotnik Eugeniusz Tomzik, zatrudniony przy wyrobach z drutu, do którego odnosiły się słowa powtarzane przez wzmacniacze. Jego szczere, jakby lekko zdziwione spojrzenie, przesunęło się po twarzach współtowarzyszy. Skądś doleciał mnie rozgorączkowany szept:

— Prawdę czytają.

Kontrkandydatem był inny robotnik, tow. Waloch, który także się podniósł, gdyż ktoś na sali w krótkich słowach kreślił jego zawodową i ludzką sylwetkę.

Rozdano kartki, a potem ludzie powoli podchodzili do ustawionej nie opodal stołu prezydialnego urny i z powagą oddawali swoje głosy. A później, z taką samą powagą czekali na rezultat głosowania.

Delegatem załogi zakładów „Komuny Paryskiej" na V Zjazd został Eugeniusz Tomzik. Cała sala biła brawo, a potem ludzie rzucili się do niego z gratulacjami. Przyjmował te wszystkie objawy sympatii ze wzruszeniem, uśmiechał się, odpowiadał na uściski.

Potem sala opustoszała. Napięcie opadło i zostaliśmy sami, na ogromnej sali pogasły światła. Prosiłem go, aby powiedział coś osobistego, zgodził się i zaczął:

— Urodziłem się w roku 1912.

I zaraz się zaniepokoił.

— Nie — powiada — to zbyt oficjalnie. Więc powiem krótko. Zacząłem samodzielne życie jak większość młodych ludzi w tym mieście przed wojną. Pracowałem na robotach publicznych. Wyżyć z tego nie było można, nawet kawalerowi. Matka była bezrobotna, siostra tak samo, a brat był w wojsku, więc nie miałem już wyboru: z rozpaczy zaatakowałem personalnego „Metalurgii". Pytałem go, czy mam napad zrobić, ludzi rabować. Wtedy mnie przyjęli do roboty.

Robota była ciężka, niszczyła siły, wszystko trzeba było robić własnymi rękami, ogromne zwoje drutu pławiłem w beczkach z kwasem. Żyło się od soboty do soboty. W soboty na kantorku wywieszali listy zredukowanych. Mnie nie zwolnili, bo oba wiali się, że się zemszczę, nie ukrywałem tego. Chciałem żyć, nic więcej, a żeby żyć musiałem pracować. W domu chleb był pod wydziałem, porcjowaliśmy go. A w fabryce robota zabierała wszystkie siły, pot płynął ze mnie gęsty jak mydliny.

Potem była wojna i zabrali mnie przymusowo na roboty do Niemiec. Nie powiem o tych latach że były ciężkie, bo były przekleństwem. Kiedy upadła Rzesza zorganizowaliśmy w kilku tabor konny i na wozie pojechałem do Polski. W Starogardzie daliśmy konie ludziom, a sami przesiedliśmy się na pociąg, pociągi już chodziły. I tak przyjechałem do Radomska. Ale domu mojego już nie było, został zniszczony, więc poszedłem do mieszkania teściów i tam połączyłem się z żoną.

Zakłady tak samo były zniszczone, czynne były tylko warsztaty. Więc sam sobie zestawiłem maszynę i zacząłem pracę. I jeździło się w teren po żywność, bo było głodno. Potem zakłady ruszyły pełną parą, ale co to była za para w porównaniu z tym, co jest dzisiaj. Kiedyś robiłem za 480 złotych.

Na lepsze zaczęło się zmieniać po roku pięćdziesiątym szóstym. Stare maszyny poszły na szmelc, sprowadzono nowe automaty. I teraz każdy czuje, że zakład się rozwija.

Przerwał, odpoczął chwilę i dokończył:

— Powiem tylko tyle, że lubię pracować społecznie. I cieszę się jak mogę pomóc Polsce.

Potem poszliśmy na oddział, gdzie pracuje i z dumą pokazywał mi nowe maszyny. A kiedy już obejrzeliśmy wszystko i staliśmy na dziedzińcu fabrycznym odwróciłem się, żeby jeszcze raz popatrzeć na komin, ten ciężki, solidny komin z charakterystycznym zgrubieniem pod szczytem. I wtedy, tam właśnie, pod niebem zobaczyłem rozpięty transparent, jak leitmotiv wszystkich głosów w dyskusji: PARTIA PRZEWODNIĄ SIŁĄ NARODU.

Trzeba patrzeć wysoko.

KONRAD FREJDLICH

TERESA WOJCIECHOWSKA

ELEKTRONIKA I CHEMIA ROBIĄ KSIĄŻKI

Właściwie było to wcale niedawno, bo niespełna trzy lata temu. Nowy gmach Łódzkiej Drukarni Dziełowej przy ul. Rewolucji 1905 roku, niczym primadonna stał się obiektem powszechnego zainteresowania, był ze wszystkich stron fotografowany, opisywany, chwalony. Wymieniano szczegóły dotyczące urody i zalet. Nic dziwnego, była to jedna z centralnych inwestycji ówczesnego łódzkiego planu 5-letniego, jeden z najnowocześniejszych zakładów tego typu w kraju, w Łodzi — pierwsza drukarnia pracująca w naprawdę odpowiednich warunkach, zapowiadających nie tylko pomyślne dziś, ale także poważne perspektywy rozwojowe na jutro.

To ówczesne jutro stało się już dniem dzisiejszym. Dyrektor Stanisław Niedzielski ma się teraz czym pochwalić.

— W tym gmachu rozpoczęliśmy częściowo produkcję już w 1965 r. i w tym roku opuściło naszą drukarnię 4.400 tys. egzemplarzy książek. W następnym roku — 5 milionów, w 1967 r. — 6.268 tys., a w ciągu ośmiu miesięcy bieżącego roku 5.500 tys. egzemplarzy. Plan przewiduje do końca br. około 8 milionów książek.

W ciągu tych lat park maszynowy był stale unowocześniany i w tej chwili posiada 90 procent nowych i nowoczesnych maszyn. Tamta, poprzednia drukarnia, przy Piotrkowskiej 86, pamiętała maszyny z początków XX wieku. Właśnie, tamta poprzednia, łódzka Drukarnia Dziełowa stała się znana i popularna od chwili kiedy przeniosła się do nowego pomieszczenia. A przecież jej historia jest znacznie starsza, sięga pierwszego okresu powojennego, początku 1945 roku. Będą te chwile później wspominać najstarsi jej pracownicy. Na razie ja zachwycam się nowoczesnością. Elektronika i chemia coraz szerzej wkraczają do produkcji książki. Niewielka chemigrafia, która istnieje przy tej drukarni od niedawna, posiada nowoczesne maszyny angielskie, francuskie i z NRF. Niektóre z nich to już maszyny elektronowe, o zautomatyzowanym procesie produkcji. Na przykład Variokliszograf — do wykonywania różnobarwnych zdjęć. Jego wydajność jest imponująca. Trudne procesy, których wykonanie trwało 60 godzin, on wykonuje w ciągu 8 godzin. Maszyną elektroniczną jest też Lithotex — wytrawiający klisze. Maszyną elektroniczną jest Continenta-Quick — po prostu ósmy cud świata, a nie linotyp. W jednym pomieszczeniu znajduje się aparatura nadająca tekst zakodowany na wąską taśmę, w innym pozostała część linotypu, która po założeniu taśmy, niemal całkowicie automatycznie odlewa wiersze. Właściwie nawet nie wiadomo jak nazwać ludzi obsługujących Continentę. Pierwszą część pracy wykonują niby maszynistki, ale właściwie nie maszynistki, niby teletypistki, ale też nie. A druga — mężczyzna, niby linotypista, ale przecież jego praca mało jest podobna do pracy składacza maszynowego, przypomina raczej obsługę automatu.

Również i chemia coraz śmielej wkracza do drukarni. Tradycyjne ołowiane odlewy coraz częściej zastępowane są plastykowymi, lżejszymi, praktyczniejszymi i znacznie trwalszymi niż ołowiane. A przy tym eliminuje się w produkcji część ołowiu tak szkodliwego dla zdrowia pracowników. Klej z masy plastycznej wyeliminował niemal całkowicie stary, poczciwy klej stolarski — i to z doskonałym efektem. Otwierając szeroko książkę wydaną w broszurze, nie usłyszycie już charakterystycznego trzasku, który był jednoznaczny z kruszeniem się spoiwa. Nowy klej jest trwały, elastyczny, nie kruszy się.

* * *

Przyzwyczailiśmy się, że drukarstwo to zawód męski, ba nawet nie ma formy żeńskiej. Dlatego dość szokujące wydało mi się stwierdzenie dyr. Niedzielskiego, że jego zakład zatrudnia ponad 70 proc. kobiet. I to nie tylko w introligatorni, gdzie kobiety są podobno nawet pożądane. Pracują dokładniej, precyzyjniej, mają „lżejszą rękę", a to w ostatnim etapie produkcji książki jest ważne. Pracują także w działach dawniej typowo męskich, przy linotypach, i to tych dawniejszych, tradycyjnych. W introligatorni, która jest najpotężniejszym działem ŁDD, panują niemal wszechwładnie. Praca ich jest znacznie łatwiejsza niż niegdyś praca mężczyzn. Introligatornia jest dziś działem niemal całkowicie zmechanizowanym. To wygodnie, szybko, ekonomicznie, no i w ogóle — z postępem. Ale jakoś tak mi się robi, nie wiadomo dlaczego, trochę żal. Mam wrażenie, że taka książka, której mechanicznie nadano ostateczną formę, ostateczny kształt, nie będzie miała tyle uroku, nie będzie tak pociągająca.

☆ ✦ ☆

Nieprawda. Jest taka sama. Dyrektor pokazuje mi różne pozycje z ostatnio wydanych. Łódzka Drukarnia Dziełowa nosi tę nazwę od 1952 r. i drukuje, głównie literaturę piękna — prozę, wydawnictwa społeczno-polityczne, młodzieżowe i dla dzieci, trochę mniej naukowo-technicznych, z dziedziny prawa, komunikacji i łączności, medycyny i weterynarii, rolnictwa i leśnictwa. Drukują tu głównie: Państwowy Instytut Wydawniczy, Książka i Wiedza, Iskry, Nasza Księgarnia, Wydawnictwo Łódzkie itd.

Od 1966 roku małą sensacją rynku księgarskiego stały się „kieszonkowce". Pocketbooks, tanie, popularne książki w małym formacie. Ale w zasadzie to zapożyczyliśmy z zagranicy tylko nazwę, reszta jest już rodzima. Można by im zarzucić, że są trochę za mało kolorowe, mają za małą czcionkę i jak na „kieszonkowce" trochę za duży format. Może z czasem uda się przekonać wydawców, że są to wady. Na razie to co jest, cieszy się i tak ogromnym powodzeniem. W pierwszym półroczu bieżącego roku drukarnia wypuściła dwa miliony egzemplarzy. Spróbujcie je znaleźć na rynku.

Kiedy jesteśmy już przy książkach, nie mogę powstrzymać się od uwag na temat rozeznania potrzeb rynku przez wydawców, na temat zaopatrzenia księgarń, długości cyklu produkcyjnego książki, choć wiem, że uwagi moje nie są skierowane pod właściwym adresem, że drukarnia jest tylko wykonawcą zlecenia.

KAROL BADZIAK

Motto: „Niezbędna jest troska o zasadność, sprawiedliwość w każdej decyzji oraz stanowcze przeciwdziałanie zacietrzewieniu i wypaczeniu walki politycznej przez osobiste, małostkowe porachunki".

(Tezy KC PZPR na V Zjazd partii).

Zazdrość i MEDYCYNA

Opowieść zasłyszana w Łęczycy. Przychodzi pacjent do lekarza i prosi o prześwietlenie klatki piersiowej. Lekarz wprowadza go do zaciemnionego pokoju, każe się rozebrać i wejść do szafy. Następnie puszcza w ruch odkurzacz, niby że to prześwietla.

Oczywiście, jest to tylko anegdota. Prawdopodobnie wymyślili ją sami lekarze. Przeciwko pacjentom. Niemniej zamiast mnie, do Łęczycy powinien się był chyba wybrać z braku Moliera chociaż Choromański. Łęczyca bowiem posiada nie tylko kopalnię, lecz sama jest kopalnią zdarzeń dziwnych i niesamowitych. Może śmiesznych, może smutnych, może nieprawdopodobnych, a może w ogóle nieprawdziwych : blahych.

Kolega szkolny, który jest tutaj redaktorem miejscowego „półmiesięcznika" ostrzegł mnie na wstępie: „Uważaj, bo łatwo tu zarobić na „zniesławienie". Miejscowi lekarze są z sobą tak skłóceni, że każde ich słowo dziel przez cztery. Na pewno przyjechałeś w sprawie Stachurskiego. Chcą go z partii wylać. Komitet Powiatowy dokładnie rozważa tę sprawę".

Miałem się niebawem przekonać, że wszyscy moi kolejni rozmówcy będą wracać do tego nazwiska. Podpadł coś ludziom ten Stachurski. I to jak podpadł. Sanitariusz Doliwa na jednym z zebrań sformułował to najdosadniej: — „Wyrzucić Stachurskiego z partii, Łęczycy, województwa tam gdzie lipy rosną".

Stachurski przyjechał tu pięć lat temu, serdecznie go przyjęto, zaproponowano przyjaźnie, wódkę, pokera, towarzystwo. Ale niedługo to trwało. Poker okazał się rzeczą zbyt kosztowną na jego kieszeń. Gra ze stuzłotowym „śladem" nie jest już zabawą towarzyską. Stachurski zaczął się udzielać społecznie, szczególnie na odcinku związkowym, jak również i partyjnym. Jest rzeczą zrozumiałą, że im bardziej stawał się działaczem tym bardziej malała jego towarzyska łączem tym bardziej malała jego towarzyska użyteczność w środowisku. A w ogóle o czym świadczy taka ilość funkcji jaką Stachurski posiadał?

Odwiedziłem I sekretarza KP, towarzysza Romańskiego. — Chciałbym się zapoznać ze sprawa Stachurskiego — oznajmiłem.

— Widzicie, to nie jest tylko sprawa Stachurskiego, ale całego środowiska lekarzy. Ciągłe intrygi, rozróby. Prawie na każdej egzekutywie mówi się u nas o lekarzach. Ludzie przecież inteligentni, kulturalni, poważni, a zachowują się jak dzieci. Ciągle jakieś anonimy, skargi.

— Czy może o zarobki tu chodzi?

— Chyba nie całkiem, przecież oni tu zarabiają sporo. Prawie wszyscy mają samochody i nieźle im się powodzi. To są sprawy niewyżytych ambicji i ambicyjek. Konflikty ze swego życia prywatnego przenoszą na forum publiczne. Zresztą, dam wam teczkę z materiałami, zapoznajcie się. A ze Stachurskim? Pobędziecie tu dłużej, zrozumiecie.

Byłem dłużej, chciałem zrozumieć i wyjaśnić. Fakt, że środowisko lekarskie jest z sobą powaśnione nie miałby sam w sobie przecież większego znaczenia. Nawet to, że chcą jednego spośród siebie wyeliminować, też by nie było takie ważne. Lecz ważne jest, dlaczego go chcą wyeliminować, i jaki wpływ to posiada na atmosferę pracy całej służby zdrowia. W ostatecznym rachunku cierpią pacjenci. Na dyfteryt zmarły w tym powiecie w ubiegłym roku trzy osoby, około dwadzieścia osób ciężko chorowało. Prawie tyle co w całej Polsce. Nie trzeba być specjalistą, ażeby się domyślić, że epidemia błonicy spowodowana została zaniedbaniami na odcinku szczepień ochronnych.

Stachurski i tej sprawy nie zostawił w spokoju. Dyrektorem Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej jest dr Krawczyk. Czy dr Krawczyk może kochać doktora Stachurskiego? Dr Stachurski zachował się nieodpowiedzialnie nie tylko na zebraniu partyjnym, on w ogóle się zachowuje. On w ogóle za dużo wie. Zna wszelkie powiązania. Choćby dlatego, że jest przewodniczącym rady zakładowej Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia. Ludzie przychodzą do niego na skargi i po pomoc. Pomagając ludziom, niejako z obowiązku jaki na nim ciąży, automatycznie się naraża. Działacz związkowy na prowincji nie ma łatwego życia.

Ot, taki drobiazg. Przychodzi do niego starszy, sześćdziesięcioletni pracownik stacji san.-epid. — Jaszczak. Po prawie dwudziestoletniej pracy otrzymał nagane. Za co? Dyrektor polecił mu podczas ostrego mrozu i śnieżnej zawiei udać się do miejscowości Świnice.

— Nie mam czym jechać — odpowiada Jaszczak.

— To idźcie pieszo — odpowiada dyrektor.

Jaszczak nie usłuchał, nie poszedł, został ukarany. Trzeba znać jednak łęczyckie stosunki, żeby zrozumieć, ile w tym drobnym incydencie kryje się podtekstów. Zdarzenie to, człowiek orientujący się w stosunkach łęczyckich zinterpretował mi w sposób następujący.

Otóż zięć Jaszczaka miał swego czasu czelność zachować się w kolegium orzekającym nie po myśli dra Krawczyka. Dr Krawczyk występował przed majestatem kolegium w roli surowego Katona i domagał się od obwinionego trzy tysiące złotych kary, a zięć Jaszczaka, oficer MO, oskarżyciel z urzędu, domagał się zaledwie 250 zł. Wysokie kolegium przychyliło się do wniosku oskarżyciela. Ambicja doktora została podrażniona. Czyżby za upór zięcia zapłacił teść?

Może tak, może nie. Może nagana była pierwszym krokiem do zwolnienia w perspektywie Jaszczaka z pracy. Trudno wyjść poza krąg domysłów. Ale w Łęczycy domysły są chlebem powszednim dnia codziennego. Z nich buduje się klimat, według nich ocenia ludzi, stanowią one element zatruwanej atmosfery miasteczka.

Co to ma jednak wspólnego z doktorem Stachurskim? W Łęczycy jednak ma. Że to niezrozumiałe? A co tu rozumieć? Kierownik Wydziału Komunikacji w ciągu pięciu lat zarejestrował sześć samochodów doktora Krawczyka i nic nie rozumie, bo wszystkie z przydziału. Oczywiście, raz na męża, raz na żonę. Stachurski występując w obronie Jaszczaka, naraził się prywatnie Krawczykowi. Na prowincji życie prywatne, towarzyskie splata się wyraźniej niż gdzie indziej z życiem społecznym, zawodowym, służbowym.

Dr Krawczyk jest prywatnie człowiekiem nader sympatycznym. Porozmawialiśmy. Pomyślałem sobie, że to może nie ten sam Krawczyk, bo jest ich w Łęczycy dwóch.

Jednakże po wizycie u dr Macudzińskiej w szpitalu, doszedłem do wniosku, że uprzejmość to po prostu cechy trwałe w tutejszym środowisku. Niestety, nie mogłem zamienić z panią dr Macudzińską choćby dwóch słów, gdyż nieoczekiwanie zjawił się w jej pokoju dyrektor szpitala. Przed chwilą w ogóle nie było go na terenie.

— No, koleżanko, powiedzcie redaktorowi, jak układają się u nas stosunki międzyludzkie — zachęcał dyrektor. — Wyśmienicie, prawda, koleżanko. My tutaj stanowimy jedną zgraną rodzinę.

— Ależ, oczywiście — potwierdziła gorliwie koleżanka Macudzińska.

Czyż serce nie rośnie, kiedy się coś podobnego słyszy? Przykro mi zaraz się zrobiło, że tak pochopnie wynotowałem zdania z protokołu znajdującego się w teczce jaką otrzymałem do wglądu od I sekretarza. Były to zdania z dyskusji, jaka lekarze prowadzili na zebraniu środowiskowym. Oto fragmenty...

„...Na porządku dziennym jest poniżanie personelu szpitalnego w obecności chorych...".

„...Jest służalczy w stosunkach do przełożonych, a wyniosły wobec podwładnych...".

„...Salowa N. nie chce podawać basenu chorym...".

„...Lekarz rozpowiadał, że chora jest chora na kilę...".

Rzecz jasna, zdania te nie dotyczą nikogo z obecnych, są wyjęte z kontekstu, skreślmy je. Skreślamy.

A swoją drogą, niewielu spotkałem ludzi w tym mieście, którzy by chcieli rozmawiać z dziennikarzem krytycznie o swej pracy, o trudnościach, o problemach. Poważne problemy nikną w hałasie rozróbek. Nawet na zebraniach partyjnych więcej się mówi o rozróbkach niż o sprawach istotnych.

Himalaje uprzejmości i uczynności osiągnął wobec dziennikarza kierownik Wydziału Zdrowia, dr Pietrzak, ten, który przez wiele lat użytkował bezpłatnie garaż należący do służby zdrowia. Dziś już garażu nie użytkuje. Ja chciałem o pracy służby zdrowia, a on ciągle o Stachurskim. Widocznie Stachurski bardziej absorbuje.

A w ogóle traktowano mnie w Łęczycy co najmniej jak Rewizora: kawka, papierosiki, ciasteczka, nalewieczka. Kawy, to ja w tej Łęczycy wypiłem. To jest widocznie po alkoholu drugi narodowy napój. Byłbym ostatnim draniem, gdybym o tym nie wspomniał. Nawet mój kolega szkolny redaktor miejscowego „półmiesięcznika" poczęstował mnie kawą i emdeemem. Tylko kiedy mu zaproponowałem, że chciałbym z tym legendarnym Stachurskim porozmawiać, może właśnie na terenie redakcji, uprzejmie lecz zdecydowanie odmówił. Rozumiem, względy powiatowej dyplomacji...

Odwiedziłem więc Stachurskiego w domu. Na wstępie, jak wszędzie, najpierw kawa, potem nalewka. Stachurski nie jest bohaterem bez skazy. Na pewno swoje wady ma. Jest nieprzystosowany, szczególnie do Łęczycy. Wszystkim się wokół naraził. Tylko pacjentom nie. Powszechnie uchodzi wśród nich za dobrego lekarza. Komendant powiatowej MO w rozmowie z dziennikarzem inaczej się o Stachurskim nie wyrażał jak: „Ten Judym". Ot, jak złożona jest prawda o jednym i tym samym człowieku. Dla jednych Judym, dla drugich Judasz.

Warto również dodać, że Stachurski jest jedynym laryngologiem na tym terenie. Kiedy stąd odejdzie pacjenci będą zmuszeni do Łodzi jeździć do specjalisty. Nikt jednak pod tym kątem nie patrzy. Nawet Stachurski. Zraził do siebie środowisko, naraził się, jest spalony, powinien dla swego dobra opuścić miasto. Tymczasem o laryngologa będzie trudno. Jest wprawdzie na miejscu spółdzielnia lekarzy, więc może ona szybciej sprowadzi tego typu specjalistę. Na marginesie warto wspomnieć, że miejscowi lekarze łącznie ze Stachurskim spółdzielnię bojkotują. Żaden z nich nie chce tam pracować.

Na wieść, że Stachurski ma być usunięty z terenu Łęczycy zaczęto zbierać podpisy pod petycją, którą wysłano do Rady Państwa. Uczynił to jego pacjent. Trudno dociec z czyjej inspiracji. Faktem jest, że inicjator akcji w obronie Stachurskiego został zwolniony z pracy. Był górnikiem w Łęczyckich Zakładach Górniczych. Faktem jest, że choroby nabawił się w kopalni. Przeglądałem jego akta personalne. Sporo nagan za nieusprawiedliwione dni. Wystarczająco dużo, żeby go z czystym sumieniem zwolnić. Pozornie, ponieważ ma czworo dzieci na utrzymaniu i jest chory. Czy jego zwolnienie jest czystym przypadkiem, zbiegiem okoliczności, czy też ma związek ze Stachurskim?

I znów znajdujemy się w zaklętym kręgu domysłów, które rządzą tym miastem. Dla jednych zwolnienie autora petycji jest kara za wystąpienie w obronie Stachurskiego, dla innych zwykłym przypadkiem. Podobno ów górnik miał być już dawno zwolniony za bumelanctwo.

Na to pytanie nie mogłem znaleźć odpowiedzi. Może nie do mnie należy odpowiedź? Zresztą, w mieście, któremu patronuje diabeł Boruta, wszystko może się zdarzyć.

Moja rada dla kolegów po piórze. Dziennikarz, który chciałby o tym mieście napisać reportaż czarno-biały lub biało-czarny, który szukałby w tym mieście jednoznacznej prawdy, niech jeszcze przed wyjazdem podrze delegację. Odgrzebano tu przede mną na użytek niniejszego reportażu wiele czynów niegodziwych.

Były dyrektor szpitala, obecnie ordynator — jak mi mówiono — pobił niegdyś chorego na sali. Ale ten sam lekarz potrafi ofiarnie i z pełnym oddaniem dniami i nocami stać u łoża chorych.

Inny lekarz, podejrzany o prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym, a zatrzymany przez funkcjonariusza MO, tak mocno wciskał milicjantowi pięćsetkę, że aż mu kieszenie poobrywał. Później przed sądem tłumaczył się, że nie miał drobniejszych na mandat. Sztuka godna bardziej diabła Boruty niż ginekologa. Bo w ogóle w Łęczycy stosunki między ludźmi są bardziej diabłem podszyte. Nie dziw więc, że świętych tu mało.

Ale przecie ci sami ludzie ! Krawczyk i Pietrzak i Stachurski i ów dyrektor i ordynator, i nawet ginekolog, kiedy zachodzi tego potrzeba, ratują z ogromnym poświęceniem ludzkie życie — cały swój talent, wszystkie swe zdolności, wszystko co jest w nich najlepsze, pracowitość, ofiarność, poświęcenie, oddają swoim pacjentom, ażeby ulżyć ich cierpieniom i przywrócić do zdrowia. Czyż dzięki tej lepszej stronie swojej natury nie mogliby dojść do wspólnego porozumienia i zaprzestać jałowych swarów?

— Wydawcy — mówi dyrektor Niedzielski — zaczynają już wychodzić naprzeciw zainteresowaniom czytelników. Teraz na przykład w serii kieszonkowej ukaże się „Pan Wołodyjowski" z barwnymi zdjęciami z filmu, fotografiami aktorów.

To dobrze, chociaż jedna jaskółka nie czyni wiosny.

* * *

Minione lata, lata o których teraz wiele się mówi, nazywając je latami między IV a V Zjazdem, były dla polskiej poligrafii w pewnym sensie przełomowe, zrobiono wiele dla unowocześnienia parku maszynowego, warunków pracy drukarń. Jaki będzie dalszy kierunek rozwoju?

— Nasze plany — mówi dyrektor Niedzielski — związane są ściśle z ogólnymi planami rekonstrukcji poligrafii w kraju. Istnieje w Polsce wiele jednostek produkcyjnych mniejszych i większych, chodzi o jak najlepsze, najefektywniejsze wykorzystanie mocy, którymi dysponują. Podległe Min. Kultury i Sztuki Zjednoczenie Przemysłu Poligraficznego powołało już do życia komisje regionalne do spraw rekonstrukcji branż. Mamy taką komisję i dla regionu łódzkiego. Jej zadaniem będzie przeanalizowanie planów perspektywicznych rozwoju branży jeszcze w bieżącej pięciolatce, a także w dwóch następnych: do roku 1975 i 1980. Trzeba będzie stworzyć silne i prężne ośrodki poligraficzne o dużych mocach produkcyjnych, chodzi również o „wyczyszczenie" profilu. Dziś wiele drukarń robi wszystko: gazety, książki, akcydens. Trzeba, by skoncentrowały się na jednym rodzaju produkcji i udoskonalały go. Na przykład chemigrafia. Jest w Łodzi kilka zakładów tego typu. Trzeba będzie przedyskutować czy ma sens rozdrabnianie produkcji na kilka niewielkich zakładów, czy należy raczej stworzyć jeden duży, nowoczesny zakład. W kierunku profilowania zakładów poligraficznych poczyniliśmy już pewne kroki, na przykład Łódzkie Zakłady Graficzne będą zakładem tylko offsetowym.

* * *

Drukarstwo to zawód stary, o pięknych tradycjach. Drukarze stanowili zawsze zwartą grupę zawodową, szanującą się nawzajem, budzącą szacunek społeczeństwa. Kochają swój zawód, są mu wierni. Nawet ci, których skierował do linotypu czy zecerni przypadek, są temu przypadkowi wdzięczni. Nie wiem, ale wydaje mi się, że typowy życiorys pracy drukarskiej, w którym nie można przeskoczyć ani jednego szczebla, wszystkiego trzeba się po kolei i solidnie nauczyć, ma Tadeusz Pawlak, dziś kierownik przygotowalni form typograficznych ŁDD, I sekretarz organizacji partyjnej w zakładzie.

W pierwszych dniach niepodległości, młodego chłopaka, przypadek skierował na Piotrkowską do domu nr 86, przed którym stał portier i wypatrywał ludzi do pracy w drukarni. A Tadeusz Pawlak właśnie pracy szukał. Stanął przed pierwszym dyrektorem drukarni, oficerem Wojska Polskiego i został przyjęty. Początkowo jako pracownik fizyczny. Ale wkrótce zapytano go czy chce zarabiać czy nauczyć się zawodu i przez pewien czas zarabiać gorzej. Wybrał to drugie. Po trzech latach został fachowcem. Wówczas, w 1948 r. powołano go do wojska. Po dwóch latach wrócił do zawodu. Do 1958 pracował jako linotypista, potem został brygadzistą, a w 1965 — kierownikiem działu.

ŁDD ma pracowników jeszcze starszych, do nich należy dyrektor techniczny Stefan Wilmański, który 46 lat temu, jako 14-letni chłopiec rozpoczął naukę zawodu. Przez 15 lat pracował w „Kurierze Łódzkim", przechodząc przez wszystkie szczeble i specjalności zawodu. Po wojnie przyszedł do drukarni przy Piotrkowskiej 66, pomagał przy narodzinach łódzkich gazet, pomagał przy instalowaniu linotypów w zaadaptowanym na drukarnię gmachu pofabrycznym przy Żwirki 17, ale wrócił na Piotrkowską, do książek. Z sentymentem wspomina ciężkie, piękne czasy, w których drukarzom dane było zaspokajać pierwszy głód polskiej książki. Głód ten był tak wielki, że na starym sprzęcie, w tych złych warunkach, pracowano na trzy zmiany. Któż lepiej niż Stefan Wilmański może ocenić zmianę warunków pracy, spowodowanych nie tylko postępem technicznym, ale i opieką nad pracownikiem, poprawą warunków zdrowotnych!

* * *

Takich wieloletnich, oddanych zawodowi i zakładowi pracowników jest w drukarni wielu. Dlatego dyrektor Niedzielski może śmiało powiedzieć:

— Mamy świetną starą kadrę. Szkoda tylko, że każdego roku żegnamy po kilku odchodzących na emeryturę. Skutkiem tego właśnie znacznie odmłodziliśmy zespół. To ma swoje dobre i złe strony. Po 20 latach kobieta pracująca na przykład w introligatorni, może stanąć praktycznie przy każdym procesie produkcyjnym na tym oddziale, bo wszystko tam umie. Przychodząca młodzież jest „jednoczynnościowa" i przez dłuższy czas będzie umiała wykonywać tylko jedną funkcję.

Właśnie, jak to jest z młodzieżą?

— Kształcimy stale młodych. Szkolenie idzie dwoma torami. Jednym jest 5-letnie Technikum Poligraficzne, przyjmujące po szkole podstawowej. W przyszłym roku opuszczą je pierwsi absolwenci. Drugi nurt szkolenia, to drukarnia. W tej chwili przygotowujemy do zawodu 45 uczniów. My kształcimy wykwalifikowanych robotników, technikum — techników-poligrafów. Najlepszych wysyłamy na studia do Związku Radzieckiego i NRD. Tam otrzymują dyplom inżyniera-poligrafika. Ogólnie — poziom fachowy naszych pracowników podniósł się znacznie w porównaniu z latami 1963-64. W pionie technicznym nie zatrudniamy już ani jednego pracownika poniżej technika-poligrafa, w produkcji majstrowie i kierownicy działów muszą mieć średnie wykształcenie techniczne.

* * *

Łódzka Drukarnia Dziełowa została zaliczona do tzw. obiektów turystycznych, to znaczy zwiedzają ją wycieczki. Wycieczki to zawsze kłopot dla zakładu produkcyjnego. Zwłaszcza, kiedy przychodzą przedszkolaki. A i taki przypadek się zdarzył.

...Linotyp jest to maszyna do składania tekstu z oddzielnych matryc i do odlewania całych wierszy, które układa się w szpalty. Tekst złożony z czcionek lub matryc linotypowych nazywa się składem. Przy składach tekstowych skład stronicy określa się nazwą kolumny. Kolumny formuje czyli łamie składacz ręczny...

Opuszczam tę fabrykę książek, spoglądam na zdjęcie linotypu, umieszczone w gabiocie i nagle przypominają mi się, wcale nie wiem dlaczego, a raczej chyba wiem, dlatego, że bardzo mi się podobały słowa dyrektora Niedzielskiego, kiedy mówił o kłopotach z nowymi pracownikami.

— Jeśli nie lubią maszyny, to nic nie pomoże. Maszyna tylko na pozór jest martwa. Ona doskonale czuje jaki się ma do niej stosunek, wie czy się ją lubi czy nie, czy się ją zna czy nie. Odwzajemnia się sympatią lub antypatią. Trzeba ją znać, trzeba ją lubić.

Tak, oni kochają te swoje maszyny, to chyba jeden z warunków przywiązania do zawodu. Przecież wraz z nimi tworzą mądre i piękne dzieła — książki.

EUGENIUSZ IWANICKI

Morderca

W osadzie szalał tyfus. Codziennie specjalne karetki odwoziły dziesiątki osób do łódzkich szpitali. Mieszkańców i nielicznych o tej porze wczasowiczów ogarnął strach. Ludzie barykadowali się w domach i paląc jakieś cuchnące zioła starali się w ten sposób zabezpieczyć od tej strasznej choroby. W sklepach zabrakło nagle spirytusu, ponieważ był to jedyny dostępny powszechnie środek dezynfekcyjny. Teraz pito jawnie, tłumacząc się względami sanitarnymi. Przepity do szpiku kości były student wiedeńskiego konserwatorium Lolo Cybuch, wykrzykiwał wieczorem na przystanku autobusowym, niech żyje epidemia! Na drogach wiodących do osady patrole milicji zatrzymywały samochody, nakazując wielokilometrowe objazdy. Nikt nie miał możliwości wejść lub opuścić osadę. W jesiennym słońcu leniwie drzemały setki klonów ubranych w jantarne, pożegnalne stroje. W kinie przerwano wyświetlanie filmów i na drzwiach zawieszono przedpotopową kłódkę. Zamknięto restauracje i obie kawiarnie. Stanęła wytwórnia wód gazowanych, zamilkł młyn wodny. Tyfus szalał na całego!

Pracowałem wówczas w powiatowej stacji sanitarno-epidemiologicznej i jako jeden z pierwszych zostałem skierowany na zagrożony teren. Do moich obowiązków należało rozwożenie na trzęsącej sie furmance beczek z wapnem chlorowanym i zasypywanie rozgrzebanych przez kury i świnie dołów kloacznych, wysypisk śmieci, ustępów i gnojowisk. Chlor wdzierał się do gardła i parzył płuca. Kaszlałem lepiej od niejednego wytrawnego gruźlika, a moje ubranie z każdym dniem stawało się coraz bardziej białe. Chlor niszczył wszystko. Służbowy kombinezon (do dziś nie wiem, dlaczego, był niebieski) z dnia na dzień upodabniał się do wypłowiałego stepu, na którym od czasu do czasu można spotkać samotny niebieski kwiatek.

Poczciwy koń, nie zdając sobie sprawy z powagi sytuacji, spokojnie skubał trawę porastającą wokół otwartych rowów ściekowych. W przeciwieństwie do mnie nie bał się żadnej salmonelli. A ja swój pobyt w tej osadzie uważałem za najbardziej niesłuszną i straszliwą karę, na jaką w żadnym wypadku nie zasłużyłem.

Któregoś dnia, gdy zmęczony, mokry od potu, ledwo przebierając nogami, z trudem uniosłem pokrywę jakiegoś dołu, skąd uderzył we mnie mdły odór zgnilizny i kału i chciałem wysypać do środka wiadro wapna, dostrzegłem ciało noworodka sterczące z gęstej, oblepionej przez muchy mazi.

Odskoczyłem wysypując wapno sobie na buty, które od razu pokryły się białym, żrącym pyłem i niepomny na zmęczenie pobiegłem na posterunek mieszczący się po drugiej stronie asfaltowej szosy. Niemłody sierżant zerwał się na mój widok i przyjął niedwuznacznie obronną postawę.

A potem szliśmy pod klonami, z których bez szmeru padały liście. W powietrzu unosił się zapach pierwszych butwiejących łodyg przekwitłych kwiatów. Spoza zasłoniętych okien śledziły nas czujne oczy starych dewotek. Nawet psy nie okazywały żadnego zainteresowania i zwinięte obok swych bud wygrzewały się w jesiennym słońcu.

— To tu, panie komendancie — z trudem uniosłem pokrywę. — O, widzi pan? Na prawo, pod samą ścianą!

W ciągu godziny (zjawił się prokurator, śledczy, fotograf i jeszcze jakiś w cywilu) było po wszystkim. Przesłuchani mieszkańcy okolicznych domów zgodnie twierdzili, że to nikt inny, jak tylko ta pannica, co to pracuje przy wyrobie linoleum u pewnego prywatnego przedsiębiorcy.

— Niedawno łaziła z brzuchem — jazgotała chuda babina, uderzając laską o ziemię — a dzisiaj ani dziecka, ani brzucha! Bezwstydnica!

— Łajdaczyło się toto z każdym — mówiła, zaciągając z lwowska otyła sklepowa.

— A bo to mało ich tu nocowało?

— Po takiej to wszystkiego można się spodziewać!

— Dziwka!!!

Dwaj milicjanci szybko pobiegli przez podwórze w stronę odrapanego domku, skąd po chwili wyprowadzili słaniającą się na nogach dziewczynę.

— Hanka! — krzyknąłem mimo woli.

Dziewczyna nie mogła iść, jej mizerna, schorowana twarzyczka wykrzywiała się z bólu. Czarne, gładkie włosy jeszcze mocniej podkreślały biel zapadniętych policzków i popielate, zaciśnięte usta.

Nie mogłem uwierzyć, że to ta sama dziewczyna, z którą wiosną przedzierałem się poprzez zalane łąki, zapadając po pas w zdradliwe rowy melioracyjne. Niosłem Hankę aż do mostu, do samego osiedla, a potem w jej ciemnym pokoju, owinięci jedynie kocami, suszyliśmy swoje ubrania parząc usta gorącą herbatą. Nasze były wtedy chłodne, kwietniowe noce, wypełnione zapachem jej włosów, zmęczeniem i ciszą. Pierwsze burze, krótkie i ulewne, pierwsze śnieżyczki i pierwsze sprzeczki, legły u początków naszej miłości. Była to miłość podobna do wiosny: krótka, nagła, odurzająca. Trwała niezależnie od nas i minęła wraz z pierwszymi wiosennymi kwiatami. Rozeszliśmy się bez żalu, spokojnie. Wszystko było skończone. Nie czuliśmy wyrzutów sumienia.

— Hanka! — rzuciłem się ku niej potrącając jakieś wiadra i skrzynie rozrzucone na podwórzu.

Dopadłem milicyjnego wozu w momencie, gdy milczący cywil usiłował otworzyć tylne drzwiczki. Chciałem usłyszeć jej głos, pragnąłem by zaczęła się bronić, zaprzeczyła. A ona z trudem stawiając stopę na rozgrzany stopień, odwróciła się nagle w moją stronę i powiedziała głucho, z nienawiścią:

— Ty morderco!

Jan Nowak. Drzeworyt. 1939.

WACŁAW MROZOWSKI

* * *

CZESŁAWOWI TWARDZIKOWI

Gdy Barleycorn mnie czasem rzuci
i żona — dwie miłości moje
(do których zawsze muszę wrócić,
by trójkąt był, a w nim nas troje)
wtedy uciekam tu. Nieznany nikomu
poeta na gruzach dzieciństwa i miasta.
Szukam śladów rodzinnego domu
na Obłońskiej. Stary, śmieszny fantasta.
Nie ma domu i nie ma ulicy.
Czarnych aniołów chóry fugami Bacha straszą,
chełmskich Żydów też nie ma, a na cmentarzu
leżą Antoni i Maria — święci Rodzice.
Nigdzie śladu dwukonnej dorożki,
obce twarze, nikt mnie tu nie wita —
— Pan to pewnie poeta Mrozowski —
zawsze dryndziarz na dworcu mnie pytał
gdym przed wojną przyjeżdżał na święta.
Knajpowało się ostro u Szterna —
kto dziś tamte czasy pamięta?
Czyja pamięć jak moja jest wierna?
Po zaułkach starych się włóczę,
tu Pijarska, niżej Gęsia, tam Brzeska
i aleja kasztanów. W oknie gimnazjum Franczeska,
Beatrycze młodości, a w niej zakochany uczeń.
Gdzie dziś jesteś? W jakiej stronie świata,
gdy ja błądzę po chełmskich ulicach?
Wiatr mosiądzem liście zamiata,
chełmski wiatr — swawolna ulicznica.
On w zakątkach beztrosko buszuje,
w saksofonach rymien gra — szczurołap,
swą melodią jak dawniej czaruje
i wciąż woła mnie do Chełma, woła...
Więc tu wracam, gdy ciężko i źle mi,
jak banita nostalgią trapiony,
zakochany w urokach tej ziemi —
Tak powracam do Johna i żony.

Rok temu, 26 września, zmarł w Łodzi Wacław Mrozowski w wieku 55 lat. Wiersz powyższy drukujemy w pierwszą rocznicę śmierci poety.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przy ulicy Piotrkowskiej 86, w dawnym lokalu MPiK — obecnie w Galerii Współczesnej otwarto wystawę Stefanii Zarembskiej.

Wystawa to niezwykła, tak bardzo niecodzienna, że mimo wielu recenzji i notatek pisanych na jej temat, nie mogę powstrzymać się od zabrania głosu w sprawie tej wystawy, — i nie tylko w tej sprawie. Pamiętam, gdy prześwietni jurorzy eksponowali kolejno przez socrealizm, odwilż, taszyzm, rozmaite kolejne -izmy, op-pop-arty i tak dalej — pamiętam jeszcze ważne werdykty co do przyjęcia obrazów na wystawę okręgową Ośrodka Łódzkiego. Odbywało się to szumnie i dumnie — a Pani Stefania, zawsze speszona stała gdzieś na uboczu, w kącie i skromnie (sądzę, że pełna nerwów) czekała czy jej obraz przyjmą czy nie. Miała ciągle wątpliwości czy jej obrazy będą godne wystawienia.

Ale jurorzy nie byli pozbawieni całkowicie ludzkich uczuć — i po dyskusjach obraz przyjmowano — z litości niekiko — „No, ostatecznie jeden knot, gdzieś powieszony w rogu sali, nie zepsuje nam wystawy!"

To było dawno, tak dawno, że wspomnienie o tych czasach powoli się zaciera. Ale twarz Pani Stefanii nie zatarła się — przeciwnie, teraz, na jej pierwszej indywidualnej wystawie ukazała się we właściwym i prawdziwym świetle.

Gdzie się podzieli prześwietni sędziowie, sprawcy ówczesnych losów malarzy? — Ciągle idąc w czasie — i razem z tymi czasami znikli — nawet cień w ludzkich wspomnieniach nie pozostał po nich.

Pani Stefania maluje zwyczajnie: — grzeszy wszystkimi śmiertelnymi grzechami według bieżącego katechizmu. Jest wierna jak pies sobie i swojemu widzeniu. A wierność jest przepiękną rzeczą, o którą dzisiaj coraz rzadziej.

Nieważne to, czy malarz maluje tak, jak sto lat temu — czy wyprzedza epokę, czy pozostaje w tyle, ważna jest uczciwość i rzetelność. Bo wbrew opiniom, jakie są rozgłaszane z różnych ambon: — malarstwo to człowiek. Za malarstwem musi stać człowiek; — nie istnieje malowanie samo dla siebie, bez istotnego związku z twórcą.

Pani Stefania pokazuje to na swej wystawie bez dyskusji. Tu mamy rzetelność i prawdę; malarka nie oszukuje innych ani siebie. Jest skromna, oddana całkowicie swej pracy: — służy jej bez reszty. Robi tak, jak człowiek dzisiaj prawie nie postępuje. Bo ciągle współczesnym tym, którzy robią tak zwaną awangardę wydaje się, że historię można okpić, a człowieka ogłupić — wyzwać go od laików, prymitywów zostających daleko w tyle i nie znających się na rzeczy.

Te wszystkie zabiegi to wielki humbug.

Nieprawdą jest, że ludzie są ograniczeni i że nie poznają się na fałszu.

Nieprawdą jest, że ludzi trzeba wychowywać plastycznie w sposób, jaki się obecnie praktykuje — jak tego chcą hermetyczne grupy czy jednostki. Nieprawdą jest, że można w człowieka (zwykłego, to znaczy nie parającego się zawodem artysty) wmówić, co się chce. Za malarstwem jest człowiek — bazą malarstwa jest człowiek — i ludzie to znakomicie wiedzą.

Pani Stefania prócz tego, że jest rzetelną malarką, nie chce nikogo pouczać — maluje tak jak czuje i widzi — jest oddana całkowicie przedmiotowi, który ukochała. Robi znakomitą robotę — uczy niezamierzenie być rzetelnym — wzbudza zaufanie. Mało, wzbudza miłość u ludzi!

Stąd te olbrzymie tłumy na jej wystawie; — ludzie czują, że mówi do nich człowiek życzliwy i prawy przyjaciel; — człowiek dobry, któremu przez myśl nie przemknie chęć poniżenia innych lub pouczania ex catedra.

Od wiwisekcji twórczości plastycznej są tak zwani zawodowi krytycy — ci, co rozdzielają włos na dziesięć części, którym się nic nie podoba, bo zawsze wiedzą lepiej, którzy mówią, że wszystko, co w jakiś sposób raduje ludzi — jest złe.

Ale zostawmy ich na boku — zostawmy ich czasowi, który odpowiednio te sprawy załatwi. Nie ma bowiem sensu spierać się o rzeczy oczywiste. Jestem wzruszony tą wystawą. Dawno już nie widziałem takich rzeczy — tym bardziej, że Pani Stefania jest samotna — sama jedna ze swoim malarstwem.

Bardzo mi się ta wystawa podoba, bo jest prawdziwa. Bo wbrew temu co różni mądrale i inni mocni w piórze mówią, agitują, piszą i przekrzykują, sztuka jest do wzruszania, a nie do spekulacji (zwłaszcza osobistych).

Dziękuję Pani Stefanii za tę wystawę. Cała ta pisanina niewiele daje wyobrażenia o jej malarstwie. To trzeba zobaczyć.

Ze swojej strony sądzę, że Pani Stefania uzyskała to, co najważniejsze: — znalazła na stałe mieszkanie w ludzkich sercach. I to powinno być zadaniem sztuki.

Łączę wyrazy szacunku
WACŁAW KONDEK

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Zaproszenie do HAPPENINGU

Leon Gomolicki dał ostatnio do rąk czytelnika książkę, któ ra ze względu na swoją nader aktualną problematykę budzić może wiele kontrowersyjnych zdań. Chodzi tu o „Wydarzenie", powieść zasygnalizowaną wcześniej fragmentem w jednym z ubiegłorocznych numerów „Twórczości" *). Recenzje znakomitych piór krytycznych (Bieńkowski, Bereza, Burek, Łukasiewicz, Sadkowski i in.) wskazują na to, że dotychczasowa twórczość autora „Kiermaszu" świadczy, że Gomolicki zalicza się do czołówki polskich prozaików, do tych, którzy nie odżegnują się od eksperymentów w swoich dziełach w celu ekspresyjnego uwydatnienia wielorakich stron psychiki człowieka naszego czasu. Zwłaszcza Gomolicki celuje w eksperymentatorstwie, popadając nieraz aż w krańcowość, a to równa się już ryzyku i stąd wynikają dość sprzeczne opinie. Przyznać należy, że tkwi w tym poniekąd odwaga moralna recenzowanego pisarza, że w porównaniu z ogólnym stanem współczesnej polskiej prozy, a zwłaszcza z twórcami tzw. „małego realizmu", Gomolicki znajduje się znacznie powyżej przeciętnej. Nic też dziwnego, że i czytelnik od takiego pisarza wymaga więcej niż od innych.

„Wydarzenie" to powieść oparta na zasadach happeningu; autor ciągle o tym przypomina i stara się być wierny założeniom (konstrukcji) aktu, bo tak też proponuje tłumaczyć pojęcie „happening". Narrator „Wydarzenia" występuje w pierwszej oraz w trzeciej osobie, chcąc przez to stworzyć wewnętrzny dystans wobec własnych relacji i nadać im walory obiektywne. Przedmiot staje się podmiotem i odwrotnie — metoda dość popularna w tzw. „nowej powieści", jak również i w liryce. Akcja w gruncie rzeczy z lekka jedynie naszkicowana kilkoma faktami o silniejszym zabarwieniu emocjonalnym nie może w całości stanowić pokusy dla wyobraźni czytelnika.

Happening wymaga od twórcy głębokiego poczucia i zrozumienia rzeczywistości (tej twórczej), ale żeby oddać nową, a właściwie inną rzeczywistość trzeba nowych pojęć. Stąd autor usiłuje przekraczać barierę języka, nadając swoim refleksjom i komentarzom do sytuacji nowe określenia. Zresztą jest to książka w znacznej mierze o języku, gdzie w formie zbliżonej do eseju Gomolicki rozważa różne możliwości języka. Rzecz rozbija się o tradycję, która to w jakimkolwiek przekazie (słownym, obrazowym), tkwi w teraźniejszości. I w tym momencie sięga autor chyba sedna spraw współczesnej nie tylko literatury, ale w ogóle sztuki. Niewątpliwie interesująca jest w tym względzie postawa Gomolickiego, który zajmuje stanowisko dość odrębne, krytykując transponowanie pojęć i rzeczy z minionych epok na grunt obecny (moda na ikony, lampy naftowe, i w ogóle różnego rodzaju antyki). Nazywa to „nowym sensem", który „jest właśnie bez sensu, pustką w błyszczącej otoczce". Można to potraktować w dyspucie z reprezentantami nurtu klasycystycznego w poezji jako argument podważający poniekąd teorię archetypów.

Akcja (o ile można mówić o takowej) rozgrywa się zasadniczo nie między ludźmi i ich myślami, lecz raczej między ich gestami, ruchami, które w kontekście z rzeczami stwarzają sytuacje. Mamy więc do czynienia z wizualnym odbiorem świata, który jest przez to płaski. Człowiek zniwelowany został do roli

Fot. Płażewski

rzeczy, rzeczy z kolei są reanimowane. W ten sposób autor rzeczywistości nadał pewną jednolitość, która stwarza pozornie jedność materialną i psychiczną świata. Wszystko jest jednak in statu nascendi lub w stanie płynnym, albo też i niszczącym. Nie wiadomo, czy kelner jest klownem czy klown kelnerem. Chłopiec długimi włosami upodabnia się do dziewczyny, dziewczyna swoim strojem do chłopca. To nie zmienność masek, to zmienność osobowości i jej poważne zagrożenie — bardzo istotny problem naszej epoki. Jak wyrwać się z tego zaklętego kręgu, z tych więzów? Czy tak jak w happeningu dać widzowi (czytelnikowi) wolną wolę interpretacji? Może to jest tylko rzeczywistość zasugerowana przez autora?

Nasuwa się tu następny problem nieco zasygnalizowany powyżej. W dużym stopniu Gomolicki „Wydarzenie" poświęcił sprawom tyczącym się samego twórcy i jego zmagań z piórem, a więc autotematyzm, który nie obchodzi w zasadzie czytelnika. Jest to pójście na łatwizny — autor pisze o tym, co jest mu najbliższe, a nie co czytelnikowi. Z drugiej strony pragnie zaktywizować odbiorcę jako uczestnika happeningu, nasuwając mu wielość interpretacji sytuacji i faktów. Jest to wewnętrzna sprzeczność pokutująca nie tylko u autora „Wydarzenia", ale znamienna dla wielu twórców tego kręgu literatury.

Rozbudowana do nieznanych granic psychika ludzka jest w głównej mierze naszym rzeczywistym i jedynym prawie światem. W ostateczności wszystko dzieje się w sferze myśli i pojęć, na co wskazuje sposób myślenia autora: rzecz, sytuacja służą za punkt wyjścia do myślenia spekulatywnego, abstrakcyjnego, dalej akcja rozgrywa się już tylko między pojęciami. Dlatego istnieje wiele prawdopodobieństw w każdym fakcie. Nic nie ma początku ani końca. Po prostu świat się dzieje. W jakim celu, w jakim kierunku? Trudno udzielić na to odpowiedzi.

Wiele tych tak głęboko nurtujących problemów zyskałoby silniejszą wymowę, gdyby konstrukcja „Wydarzenia" nie co inaczej była przemyślana. Gomolicki swoim śmiałym piórem nie pudłuje, trafia on w cel, tylko z celu tego jest nikły pożytek. Obok fragmentów wręcz doskonałych występują epizody, komentarze, szkice, zupełnie banalne. Stąd też „Wydarzenie" sprawia po trosze wrażenie brulionu. Bunt wszakże jest wtedy bun tem, gdy nadany jest mu wewnętrzny ład. Zanadto uwierzył autor w płynność gatunków literackich. Po co stwarzać pozory powieści, jej konstrukcji, kiedy w gruncie rzeczy jest ona niszczona. Świadome łamanie konstrukcji kryje w sobie zalążek jej kompletnego zrujnowania. Czyż nie lepiej byłoby z książki tej stworzyć kilka znakomitych esejów (materiał na takowe w „Wydarzeniu" jest zupełnie wystarczający) lub też zrobić cykl próz poetyckich, bo przecież język i odczuwanie świata przez autora recenzowanej książki ma wiele wspólnego z liryzmem o tendencjach moralistycznych.

Powyższe uwagi tyczą się nie tylko pisarstwa Gomolickiego, ale również wszystkich zwolenników eksperymentu jako jedynego wyjścia ze stagnacji psychicznej. W tym miejscu przychodzi mi z pomocą sam Mickiewicz z „Reduty Ordona": — „Bo dzieło zniszczenia w dobrej sprawie, jest święte, jak dzieło tworzenia".

*) Leon Gomolicki, „Wydarzenie", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1968, s. 216.

JERZY WILMAŃSKI

Jak wiry na głębokiej rzece...

Gdybym poezji Jana Huszczy nie znał nawet wcześniej, (a przecież „Pamiętnik liryczny" był jedną z moich pierwszych, młodzieńczych lektur poetyckich), gdybym zatem nie znał wcześniej tej urokliwej poezji wystarczyłby mi dwuwiersz:

Cóż archetypy, desygnaty
gdy wieczór czuły jak przed laty

aby zatopić się w tym poetyckim strumieniu.

Bo tak to przecież jest. Cóż znaczą mądrości i filozofie, wobec sprawy dla poezji jedynej, wobec nastroju i zamyślenia, wzruszenia i tego co „w duszy gra". Dziś kiedy poeci stroją się w togi filozofów, ba, w uniformy polityków nawet — wzruszająca poetycka twórczość Jana Huszczy jest źródłem głębokich doznań.

Jest to poezja smutku i zamyślenia — smutku, wydawać by się mogło, obcego mojemu pokoleniu wyrosłemu wśród tego krajobrazu. A przecież jakże dobrze rozumiem poetę kiedy pisze:

Jakże dojechać do chutoru
skoro ugrzązłem w łódzkim barze

jak dobrze rozumiem jego ból i drgania czułej pamięci, kiedy pisze:

Opuściłem ziemię dzieciństwa
a może opuściły mnie drzewa tamte i wody.

Siłą poetyckiego talentu Huszcza potrafi te odległe mojemu pokoleniu sprawy przekazać w najpełniejszym kształcie. Mało, potrafi przekonać do nich, potrafi wzruszyć swoim wzruszeniem, porazić swoją pamięcią. Sprawia, że my trzydziestoletni możemy pojąć coś więcej, niż dane nam było przeżyć.

Ale Huszcza nie jest poetą jednej obsesji i choć obrazy czułej pamięci dzieciństwa i młodości są często leitmotivem w „Starej pijalni" — byłoby nieporozumieniem, gdyby nie dostrzec w tym zbiorze mnogości innych tonów. Nie na chutorze i „srebrnym rogu księżyca" kończy się skala poetyckich doznań autora „Starej pijalni".

W swoich wierszach Huszcza patrzy — owszem — wstecz, w „świerki jak srebrzone wieże", w brzozy „wybiegające na spotkanie"... w tamtą młodość odległą, nie tyle może o lata co o kilometry... Lecz przede wszystkim Huszcza w swoich wierszach przygląda się temu czasowi, który nas otacza, w którym tkwimy. Jest poetą czułej pamięci, ale przede wszystkim jest poetą współczesności, tej dotykalnej i dotkliwej współczesności w jakiej przyszło nam żyć. I dlatego powstały m. in. takie wiersze, jak „Odszkodowanie", „Na marginesie lektury Szekspira", „Radio"...

Czyż zresztą jest tu możliwe jakiekolwiek rozgraniczenie? Przecież tony pamięci i współczesności współbrzmią w wierszach Huszczy tym samym akordem. Współczesność znajduje odniesienie w pamięci — pamięć daje wymiar i skalę sprawom współczesnym. Może to współbrzmienie sprawia, że te wiersze wciągają jak wiry na głębokiej rzece?

Trudno dokonywać suchej krytycznej analizy wierszy, które wzruszają. Trudno kusić się o wielkie syntezy twórczości poety, o którym pisali Wyka, Lichański, Kwiatkowski czy Kamieńska. Jam nie krytyk zresztą, lecz zwykły czytelnik, który znajomość z tą poezją zawarł przed laty. I właśnie jako zwykłego czytelnika zadziwia mnie wciąż Huszcza świeżością swoich wierszy. Jest w nich bowiem wciąż ta sama młodzieńcza pasja, zdolność odkrywania ukrytych znaczeń w potocznych zwrotach. Jego wiersze nie są zastygłe, nie są „robione" — one żyją, pulsują frazą potocznego języka, z potocznych zwrotów czynią poezję.

Chodzą po ulicach
aby chodzić
bywają w kinie
aby siedzieć.

Proste, niewymyślne, jakże prawdziwe i jakże piękne z następną frazą:

nie zatrzymują się pod księżycem
aby wychylić się
z siebie ku sobie.

„Z siebie ku sobie". Jakie to proste w swym poetyckim odkryciu, jakie piękne i jakże nam wszystkim tego w życiu brak.

Jan Huszcza jest poetą czytanym. I nie jest to żaden fenomen w czasach, gdy o poezji dużo się mówi, a mało jej czyta. Nie ma w tym żadnej tajemnicy, bowiem Jan Huszcza pisze wiersze o bólu i rozterce, o tym co było i o tym co jest, o sobie, o nas... Nie pisze manifestów poetyckich, tylko wiersze. Dlatego jest czytany, dlatego jego poezja wciąga jak wiry na głębokiej rzece.

Jan Huszcza „Stara pijalnia", Wyd. Łódzkie, 1968.

Półka z książkami

WSPOMNIENIA O CZECHOWICZU

Książka Wacława Gralewskiego *) jest pierwszą obszerną i bogatą w fakty pracą o Józefie Czechowiczu. Gralewski, pisarz i redaktor, starszy o parę lat od Czechowicza, był jednym z jego najbliższych przyjaciół. Pozwoliło mu to obserwować niejako od początku narodziny i rozwój talentu poety, który zaliczany jest dzisiaj (i słusznie) do czołówki polskiej poezji dwudziestowiecznej. „Stalowa tęcza" obejmuje zarówno biografię Czechowicza, jak i analizę jego twórczości i literackiego warsztatu. Gralewski sugestywnie i ze znajomością rzeczy opisał środowisko rodzinne poety, dla którego los okazał się niezbyt łaskawy. Ojciec Czechowicza zmarł w szpitalu dla obłąkanych, a siostra Katarzyna, prześladowana przez mieszczańską opinię, musiała opuścić Lublin. Sam Czechowicz, jak wiadomo, zginął 9 września 1939 roku od bomby lotniczej, mając zaledwie 36 lat. Gralewski opisuje szczegółowo okoliczności jego śmierci.

Autor „Nuty człowieczej" znalazł w Gralewskim sumiennego kronikarza, który zgromadził podziwu godną ilość materiału, naświetlając znane i nieznane epizody z życia poety. Książka zawiera również aneks, dotyczący losu pozostałych, a nieodnalezionych rękopisów Czechowicza. Rozdział ten, ogromnie pasjonujący, rzuca ciekawe światło na zagadkowe zniknięcie niepublikowanych utworów poety.

Książka Gralewskiego, napisana z temperamentem, nie pozbawiona wycieczek polemicznych, zainteresuje z pewnością szerszy krąg oświeconych czytelników, a dla miłośników poezji Czechowicza stanie się prawdziwym rarytasem.

jk.

*) Wacław Gralewski: „Stalowa tęcza — wspomnienia o Józefie Czechowiczu", Państwowy Instytut Wyd., Warszawa, 1968.

„Z PIĘCIOMA BRYLANTAMI"

W jedenastej serii Klubu Interesującej Książki ukazała się powieść szwedzkiej pisarki Sary Lidman „Z pięcioma brylantami". Autorkę, a właściwie jej dzieciństwo, polski czytelnik poznał z wydanych w 1965 r., autobiograficznych „Bagiennych malin". Teraz otrzymaliśmy powieść, która powstała w oparciu o doświadczenia i obserwacje wyniesione z długoletniego pobytu pisarki w Afryce. Akcja rozgrywa się w Kenii i sięga czasów, gdy kraj ten wyzwalał się spod zwierzchnictwa Anglii. Fakt ten pozwala ukazać przemiany społeczno-polityczne w niewielkich kręgach murzyńskich. Nie to jest jednak głównym tematem; najwięcej miejsca poświęca pisarka miłości młodych Afrykanów — Wambury i Wachiry.

Powieść Sary Lidman jest dla nas atrakcyjna przede wszystkim dlatego, że spotykamy się z egzotyczną obyczajowością, która mimo europejskich wpływów, zachowuje świeżość i autentyzm. Bohaterowie reprezentują mentalność najbiedniejszej warstwy Afrykanów; można tylko przypuszczać, że autorce udało się odtworzyć ją wiernie.

Pewne zastrzeżenia budzi forma powieści; autorka odbiegła tu od uroczej prostoty „Bagiennych malin", chyba ze szkodą dla całości. Atrakcyjny problem nie wymagał dodatkowych zabiegów konstrukcyjnych i stylistycznych, przez które akcja uległa zbędnemu rozrzedzeniu. Mimo to, powieść Sary Lidman zasługuje na uwagę i to nie tylko z powodu oryginalnego tytułu. Przede wszystkim dlatego, że poszerza nasza niewielką przecież wiedzę, o odległym kontynencie.

B. M.

Sara Lidman — „Z piecioma brylantami", PIW, 1968, str. 272, cena zł 16.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

Spóźnione „Lato"

W pierwszych, najwcześniejszych utworach teatralnych Tadeusza Rittnera, jak na przykład w „Maszynie" napisanej w 1902 roku, krytycy podziwiali mistrzostwo, z jakim autor potrafił w paru zdaniach, w jednej lub dwóch scenach zbudować postać sceniczną, lecz jednocześnie zwracali uwagę, że zainteresowania dramaturga koncentrują się na „ludziach pospolitych" względnie „osobistościach nic nie znaczących".

Nie uogólniając tego zarzutu w stosunku do wszystkich sztuk Rittnera, nie da się zaprzeczyć, że jest on słuszny w stosunku do „Lata" napisanego w 1912 roku. Nie znajdzie się ze świecą w ręku w tej nastrojowej komedii ani „osobistości", ani wybitniejszych indywidualności. A więc dramat mieszczański? I to bez głębszych konfliktów, ograniczony i zamknięty w ramach — jakbyśmy dziś powiedzieli — „małego realizmu". Potwierdzeniem tego poglądu może być gorzka trzeźwość, z jaką Rittner, wyższy urzędnik cesarsko-królewskiej monarchii austriackiej i dramaturg w jednej osobie (piszący po niemiecku i po polsku) oceniał rolę i zadania dramatopisarza w 1909 roku stwierdzając, że „do smutnych doświadczeń artysty należy przede wszystkim spostrzeżenie, że sztuka jest tak samo towarem, jak na przykład herbata lub mydło. Albo musi on zrezygnować z publiczności, albo musi poznać ten szczególik twardego życia". Patrząc w świetle tego wyznania na „Lato" trudno nie też oprzeć wrażeniu, że pomimo niewątpliwych wartości sztuka ta była wyraźnie pisana „pod publiczność". Stąd jej sukces na deskach wiedeńskiego Burgteatru, sukces, który dzieliła tam z Rittnerowskim „Don Juanem", jakkolwiek obie te sztuki uważane były za najsłabsze w dorobku twórcy „Głupiego Jakuba" i „Wilków w nocy".

Byłoby jednak niesprawiedliwością widzieć w „Lecie" tylko komedię pozbawioną problematyki społecznej, dramat małych ludzi w małym nadmorskim pensjonacie. Cóż więc jest do zapisania po stronie „Ma" w bilansie artystycznym „Lata" oprócz precyzyjnie zarysowanych charakterów i poszukiwania wyrafinowanych efektów scenicznych? Jest nim szczególna atmosfera, w której rzeczywistość miesza się, łączy i przeplata z fikcją, teatralnością lub nastrojem, przywołującym chwilami na myśl Czechowa lub Szaniawskiego. Ale jest jeszcze coś więcej. Przebywające w czasie letniego sezonu towarzystwo w nadmorskim pensjonacie przypomina nam — z zastrzeżeniem proporcji — „Czarodziejską Górę" Tomasza Manna. W powieści Manna Hans Castorp również ucieka od rzeczywistości w chorobę, a zagadkowy doktor Berens przypomina nie mniej tajemniczego Dyrektora sanatorium ze sztuki Rittnera.

Bojaźliwy młody człowiek Torup (w którym się kocha żona Dyrektora sanatorium) dowiedziawszy się pośrednio od Dyrektora, że jest rzekomo nieuleczalnie chory, przestaje się lękać, szukać ucieczki od życia i nie mając już nic do stracenia zmienia się w uwodziciela. Fałszywa diagnoza, jaka postawił Dyrektor, tłumaczy się tym, że pragnął on uratować w ten sposób żonę dla siebie, widząc jednak, że kłamstwo obraca się przeciwko niemu, burzy stworzoną przez siebie fikcję i Torup staje się znów niewolnikiem obsesji i lęku przed życiem. Nie mniej ryzykownie, bo na granicy nieprawdopodobieństwa, zbudowana jest sytuacja, w której Maja, żona Dyrektora, odwraca się od niego z początku z odpychającą niechęcią po to, żeby po gorzkich doświadczeniach z neurastenicznym amantem rzucić się w trzecim akcie w opiekuńcze ramiona męża. Te paradoksalne sytuacje są par excellence teatralne przez zmieniającą się w kolejnych scenach grę uczuć i nastroju osób wmieszanych w ten na pół realny, na pół fikcyjny przebieg akcji.

Sztuki Rittnera dają ich wykonawcom dużo pola do popisu. Doktor a zarazem dyrektor sanatorium znalazł doskonałego odtwórcę w osobie Wojciecha Pilarskiego jako inspiratora osobliwej intrygi. Pilarski operował nie tylko gestem i słowem, lecz również — niedomówieniem, charakterystycznym zresztą dla atmosfery Rittnerowskich komedii. Maję, żonę Dyrektora, grała Róża Czaplińska, podkreślając dobrze chwiejność tej postaci, jej brak pewności siebie na przemian z szaleństwem i determinacją. Z dużą satysfakcją zobaczyłem znów na scenie Teatru Nowego Hannę Bedryńską, niezawodną w każdym geście bezradności, ironii czy lęku o córkę (Elżbieta Starosteckа), wystawioną na niebezpieczeństwo uwiedzenia przez hałaśliwego reprezentanta firmy Chic parisien, Goldersa (Jan Zdrojewski). Rolę bojaźliwego młodzieńca, Torupa, zagrał z przekonywającym umiarem Maciej Grzybowski. W roli Lili, aktorki operetkowej, utalentowana Izabella Pieńkowska zaprezentowała dyskretny komizm w połączeniu z urzekającą nonszalancją. W pozostałych rolach wystąpili Gołębiowska, Białobrzeska, Chojecka, Zintel, Stogowski i Bolkowski. Reżyseria Janusza Kłosińskiego trafnie zharmonizowała komediowy nastrój z paradoksalnymi pomysłami autora sztuki. Scenografia Jerzego Groszanga.

Spektakle tygodnia

TEATRY

	spektakle	widzów	proc.
Wielki —			
„Tosca"	1	1260	100
„Jezioro Łabędzie"	1	1010	80
„Pan Twardowski"	1	950	75
„Kniaź Igor"	1	1260	100
„Zemsta nietoperza"	1	1260	100
NOWY —			
„Lato"	1	400	60
„Pierścień wielkiej damy"	1	400	60
NOWY — Mała Sala			
„Gra miłości i przypadku"	4	600	75
JARACZA —			
„Poskromienie złośnicy"	4	2250	72

TP OBIEKTYW

BOY NA EKRANIE

Przed paru miesiącami pisałem na tym miejscu o poszukiwaniach twórczych Adama Hanuszkiewicza w zakresie poszerzenia telewizyjnych środków wyrazu. Pretekstem do ogólniejszych uwag na temat realizacji telewizyjnych Hanuszkiewicza był dla mnie cykl „Telepatrzydło pana Prusa" wystawiony w ramach „Studia 63". Przy tej okazji zapowiadałem przygotowania do nowego cyklu poświęconego felietonistyce Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

I oto 25 września Hanuszkiewicz wystartował z nowym cyklem, wystartował — trzeba to stwierdzić na wstępie — w sposób niezmiernie interesujący, dając mu z miejsca znakomitą oprawę interpretatorsko-aktorską. Nie mogę więc powstrzymać się przed skreśleniem na gorąco garści uwag na temat tego widowiska.

Przede wszystkim sprawa wyboru. Hanuszkiewicz działa tu w sposób nieomylny. Po „Kronikach" Prusa — Boy, po Boyu (jak przewiduje się) — „Dzienniki" Żeromskiego. Przed oczyma naszymi (i uszami!) przewiną się najwspanialsze zjawiska w dziedzinie publicystyki i felietonu, jakie zna nasza tradycja literacka.

Na przykład Boy. Był to fenomen w zakresie rozprzestrzeniania dyskusji publicznej na obszary wstydliwe, dyskretnie przemilczane. Z pasją podróżnika-odkrywcy zapuszczał się w gąszcz spraw niedopowiedzianych lub gruntownie zakłamanych przez czynniki kształtujące tzw. opinię. W rewidowaniu uświęconych tradycji, w kompromitowaniu jałowych schematów myślenia, w wykpiwaniu pruderyjnych postaw i zastałych kanonów obyczajowych — nie znał hamulców.

Żaden chyba pisarz-felietonista, pisarz-publicysta nie wywołał tyle polemiki, tylu głosów kontrowersyjnych, co Boy. Bywało, że przejaskrawiał, że przeholował w swoim „odbrązawianiu", to było dobre prawo satyryka. Ale nigdy nie pozwalał swemu czytelnikowi pozostawać obojętnym na poruszane sprawy.

No, i język! Cięty, dowcipny, agresywny, często zgryźliwy. W tym tworzywie rzeźbił Boy z elegancją i swobodą, jakiej pozazdrościć mu mogli najwybitniejsi nawet mistrzowie pióra. Biada przeciwnikowi, którego postanowił ośmieszyć. Niektórzy, jak prof. Kucharski, przeszli do historii nie dzięki swej działalności, a właśnie na skutek śmieszności, jaką ich okrył Boy.

Czyż więc właśnie tak wspaniały materiał literacki, za którym kryje się niespożyty temperament i bogata osobowość pisarza, nie prosi się o przełamanie tradycyjnej formy podawczej, jaką stanowi słowo drukowane? Czy nie wyrywa się jakby z więzów jednostajnych rządków znaków drukarskich, które w tym wypadku są zbyt grzeczne, hamują jakby trochę rozmach i swadę wielkiego kpiarza (chyba to określenie nie jest zarezerwowane wyłącznie dla Shawa) i polemisty.

Dlatego przyklasnąć chciałoby się Hanuszkiewiczowi, że dopatrzył się w felietonach Boya elementów wizualnych, widowiskowych. Dzięki niemu słowa pisarza jakby ożyły, zabrzmiały pełniej, a przede wszystkim dotarły, korzystając z telewizyjnego przekazu, także i do takich, którzy tych pereł literackich dotąd nie znali.

Forma widowiskowa, jaką przyjął Hanuszkiewicz, jest nieskomplikowana. Duży stół, przy którym zasiadła siódemka aktorów i fortepian, włączający się chwilami jako przerywnik lub tło akustyczne. Każdy z aktorów kolejno jakby wcielał się w osobowość pisarską Boya. Inni komponują w tym czasie mniej lub bardziej aktywne audytorium.

Aktorzy, dla których Boy stanowi dzięki swym silnym związkom z teatrem osobę bliską, wczuli się w klimat jego pisarstwa znakomicie. Nie bez znaczenia jest tu fakt, że środowisko aktorskie niezmiernie wyczulone jest na facecje i anegdoty. Anegdotyczne wydarzenia z życia teatralnego przechodzą z generacji na generację, a dowcipy sytuacyjne ukuwane ad hoc przez takich mistrzów kalamburu jak Andrzej Szczepkowski obiegają cały kraj.

Nie zabrakło wśród wykonawców boyowskiego wieczoru tych właśnie najdowcipniejszych i oni właśnie górowali nad innymi kolegami swadą i kulturą w przekazywaniu tekstu. Zwłaszcza znakomity i miażdżący (swego czasu) felieton Boya o Janie Styce wypowiedział z maestrią Gustaw Holoubek. Nadał mu sens szerszy, oderwany od przebrzmiałej już konkretnej tkanki faktów, a atakujący zawsze aktualny bluff artystyczny i wszelkie hochsztaplerstwo w sztuce.

Nie mogę nie wspomnieć też znakomicie przekazanego przez A. Szczepkowskiego felietonu o Słowackim, w którym Boy wykpiwał oficjalne sądy konserwatywnej profesury o wieszczu. I tutaj wystąpiła wręcz modelowo postawa Boya jako zagorzałego przeciwnika oficjalnych cenzurek, wdzierających się między dzieło literackie i jego odbiorców, zwłaszcza młodzież szkolną. Nieraz wskazywał on przecież, że bezduszne, koturnowe wykłady literatury potrafią zrazić młodzież do najwspanialszych dzieł sztuki na całe życie.

Doskonale zabrzmiały felietony na tematy obyczajowe w wykonaniu Andrzeja Łapickiego i Zdzisława Mrożewskiego. Inni wykonawcy byli słabsi i w tych miejscach walor widowiska opadał nieco. Nasuwa się w związku z tym uwaga, że warunkiem powodzenia cyklu felietonów Boya w telewizji jest odpowiedni dobór obsady.

Jest to problem odbiegający w tym wypadku od doboru obsady w tradycyjnym typie widowiska teatralnego. Nie chodzi o wybranie aktorów dobrych „w ogóle", ale o predestynowanych do specyfiki widowiska, jakie proponuje nam Hanuszkiewicz. Potrzebny tu jest aktor-gawędziarz, aktor-kawalarz, a przy tym wyposażony w aparat intelektualny, który pozwoli mu interpretować tekst ze zrozumieniem, wydobywając jego niuanse i wdzięk.

Z dużym zainteresowaniem oczekiwać będziemy dalszych pozycji z tego cyklu.

Władysław Orkowski

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

„TWARZE NA SPRZEDAŻ" Johna Frankenheimera to film, który utrzymując nas na krawędzi psychicznej wytrzymałości, przeraża. Ponieważ jednak rangą swą i zamysłem wyrasta ponad „thrillery" i „horror-filmy" nawet w momentach najsilniej ogarniającej nas grozy pozwala oceniać to czego jesteśmy świadkami.

Lektura wybitnych pozycji literatury fantastyczno-naukowej, a ostatnimi czasy i filmów przyzwyczaiła nas do tego, iż twórcy posługując się konwencjami przenoszącymi nas w świat naukowej fantazji, a często i w daleką przyszłość, w zasadzie dokonują obrachunków ze współczesnością bądź jej niedalekimi konsekwencjami. Posiadając w zanadrzu ten bagaż doświadczeń, akceptujemy niejednolitość gatunkową i stylistyczną filmu Frankenheimera, gdyż służy ona najsilniejszemu wyrażaniu postaw i poglądów twórcy.

Frankenheimer zdobył sobie w Ameryce miano artysty „zaangażowanego", analizującego problemy społeczne i moralne swej epoki. „Twarze na sprzedaż" tę opinię potwierdzają.

Odczuciem w czasie odbioru filmu najczęściej nam towarzyszącym staje się wrażenie, iż zgoła fantastyczne wydarzenia są koszmarem, który jednak już może mieć miejsce w dzisiejszym świecie. Wrażenie to uzyskuje Frankenheimer tym, że w gruncie rzeczy bohater filmu żyje w świecie, który już jest. Hamilton, wówczas, gdy go poznajemy w jego pierwszym, autentycznym wcieleniu, spędził swe życie zgodnie z wszelkimi normami, które kierują dążeniami i ambicjami obywateli Ameryki. Hamilton osiągnął nieomal szczyty tego, co staje się celem konsumentów życiowej stabilizacji i to nie tylko pod amerykańskim niebem. Miarą jego życiowych sukcesów jest zajmowane stanowisko, niebagatelne dochody, dom urządzony zgodnie z podstawową receptą dobrobytu. Za tą przez całe życie skrupulatnie budowaną fasadą stabilizacji kryje się pustka wypełniająca serce i myśli bogatego biznesmena. Ona mu każe przyjąć tajemniczą ofertę, ona mu każe przejść operację, która mu zwróci młodość i da szansę życia zgodną z dawnymi marzeniami.

Hamilton-Wilson pozwoli nam obejrzeć i inne oblicze amerykańskiego stylu życia. Tym razem będzie to życie beatników zbuntowanych przeciw standardowym hasłom, którym podporządkowane jest amerykańskie społeczeństwo. Frankenheimer jest jednak bezlitosny. Z pełną konsekwencją zdziera maski, odsłania pozory nonkonformizmu, którego głównymi przejawami stają się pochwała braku związków rodzinnych, absolutnej swobody seksualnej, narkomanii i alkoholizmu. Przerażające odkrycie Wilsona, iż to co wydawało mu się życiem nowym i spontanicznym jest w gruncie rzeczy wytworem organizacji, która mu dała nowe wcielenie, staje się diagnozą postawioną przez Frankenheimera w stosunku do tych zjawisk życia społecznego i obyczajowego, którymi od lat świat się zachłystuje. Furtka, przez którą próbują dziś uciekać ludzie buntujący się przeciw istniejącej rzeczywistości, prowadzi do nikąd, do wielkiej mistyfikacji. Nie można za nią znaleźć wartości, które decydowałyby o sensie ludzkiego życia. Hamilton-Wilson wraca do fabryki nowych twarzy, chce szukać trzeciego wyjścia, lecz nie znajdzie go. Dano nam jedno życie. Jego sens trudno znaleźć w ucieczkach przez furtkę do nikąd, choć to może najłatwiejsze. Ta opowieść o „podwójnym życiu" nie skłania jednakże do głębszego filozofowania, bo byłoby ono na pewno zbyt płytkie. Jej głównym celem była bowiem analiza i ocena pewnych typowych dla zachodniej cywilizacji przejawów życia społeczno-obyczajowego.

Tkwi jednak w filmie Frankenheimera jeszcze jedna nuta, którą nawet trudno dostrzec, gdyż ukryta jest głęboko pod sugestywnością scen epatujących grozą, brawurą scen orgii czy stylizowaną melancholią scen na plaży. Tkwi ona w bezbrzeżnym smutku jaki towarzyszy scenom, w których Hamilton spędza wieczór i noc" nie dowiedziawszy się niczego ścia do fabryki, sprzedającej twarze. Myślę o scenie, gdy żona pragnie mu przyjść z pomocą, gdy czuje jego rozpacz, gdy mówią sobie „dobranoc" nie dowiedziawszy się niczego o sobie. Myślę o scenie, gdy Wilson wraca do domu, szukając własnych śladów przede wszystkim w żonie i gdy ich tam nie znajduje. Te obie sceny różniąc się generalnie w tonacji od całości filmu wyrażają jakiś bezmierny smutek z powodu tego, co było odwiecznym sensem ludzkiego działania i życia zamkniętym w słowie rodzina. Gdy te sceny dostrzeżemy, film Frankenheimera trochę zmienia swój sens. Tragedia Hamiltona staje się tragedią starości, tragedią człowieka, który boi się przed jej obliczem stanąć.

Wracając z bezdroży interpretacji, przyjmijmy jednak film Frankenheimera w tej jego warstwie i wymowie, która najsilniej nam się narzuca.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

POLSKI ASTRONOM A TASZKIENT

□ Sporządzony w 1690 r. przez polskiego astronoma Jana Heweliusza z Gdańska, atlas gwiezdne

Gwiazdozbiór Oriona. Strzałka wskazuje gwiazdę Heweliusza.

go nieba został ostatnio wydany w Taszkiencie pod redakcją znanego astronoma radzieckiego dyrektora Astronomicznego Instytutu AN UzSRR prof. W. Szczegłowa. Profesor w obszernym wstępie do tego pomnikowego wydawnictwa dał ob-

szerny zarys wiadomości o samarkandzkim astronomie Uługbeku, jego pracach i rozpowszechnieniu osiągnięć samarkandzkiego obserwatorium w Europie oraz o polskim astronomie Janie Heweliuszu, jego obserwacjach i o jego atlasie nieba. Wstęp prof. W. Szczegłowa wydrukowany został w językach: uzbeckim, rosyjskim i angielskim.

Interesujące wiadomości o Uługbeku i Janie Heweliuszu znajdujemy w jednym z ostatnich numerów radzieckiego dodatku niedzielnego „Niedziela" do dziennika „Izwiestija". Polski astronom Jan Heweliusz (1611—1687) był jednym z najznakomitszych uczonych swego czasu. Na dachu swego domu w Gdańsku wybudował nowoczesne jak na tamte czasy, obserwatorium astronomiczne, gdzie prowadził obserwacje nieba. Ważnym wynikiem jego prac był atlas gwiezdny nieba od północnego, aż do południowego bieguna, oczywiście sporządzony według tego co mógł widzieć Heweliusz ze swego obserwatorium w Gdańsku. W atlasie tym na każdej z 56 tablic, prócz zaznaczonych gwiazd, znalazły się artystycznie wykonane przez astronoma mitologiczne postacie odpowiadające nazwom poszczególnych gwiazd lub całych gwiazdozbiorów. Interesujące, że na jednej z tych tablic znajduje się oznaczona strzałką gwiazda Heweliusza, tajemnicza, gdyż przez wiele lat astronomowie nie mogli jej odszukać. Zauważono ją dopiero w końcu lat 30 i na początku 40 XVIII wieku. Potem znów gwiazda zniknęła i znów ukazała się w 1894 roku, po czym ponownie nie można było jej odnaleźć. Astronomowie przypuszczają, że ta tajemnicza gwiazda Heweliusza znajdująca się w gwiazdozbiorze Oriona, ukazuje się na krótko co 75 lat. Teraz jej znów nie widać, ale prawdopodobnie pojawi się w ciągu najbliższych dwóch lat. Jan Heweliusz znał prace astronoma Samarkandy, Uługbeka (1394—1449). Uługbek wraz ze swymi współpracownikami był autorem gwiezdnego katalogu z opisem tysiąca osiemnastu gwiazd. Ale prace Uługbeka były dostępne dla uczonych europejskich dopiero w XVII wieku, gdyż w roku 1665 praca samarkandzkiego astronoma ukazała się drukiem w Londynie po łacinie i tadżycku.

Heweliusz żywił wielkie uznanie dla prac Uługbeka i temu należy zawdzięczać, że w związku z obchodami dwu i półtysiąclecia istnienia Samarkandy czcząc pamięć Uługbeka czci się również i pamięć wielkiego polskiego astronoma z Gdańska, Jana Heweliusza.

WYSTAWA ROMAIN ROLLANDA W TOKIO

□ W Tokio otwarta została wystawa poświęcona pamięci Romain Rollanda. Ekspozycja zawiera pięćset rękopisów wielkiego pisarza i kolekcje pierwszych wydań jego dzieł.

Na uroczystość otwarcia wystawy przybyła do Japonii wdowa po pisarzu pani Marie Rolland.

ŚMIERĆ WŁOSKIEGO RZEŹBIARZA

□ W wieku lat 33 zmarł w szpitalu w Rzymie, po wypadku motocyklowym, włoski rzeźbiarz Giuseppe Pascali. Uchodził on za jednego z najbardziej oryginalnych współczesnych artystów swego kraju. Wystawiał rzeźby, głównie z drzewa w połączeniu z innymi materiałami, m. in. na bienale w Paryżu i w Wenecji.

W 150-LECIE URODZIN WIELKIEGO POETY

□ Zgodnie z decyzją Światowej Rady Pokoju, przy współpracy UNESCO, świat uczcił jako wielką rocznicę kulturalną, 150-lecie urodzin znakomitego poety gruzińskiego Nikoloza Barataszwili.

Nikoloz Mielitonowicz Barataszwili (1817—1845) romantyczny poeta, zwany gruzińskim Byronem, pisał buntownicze poematy przeniknięte myślą o wolności gruzińskiego ludu. Do najważniejszych utworów Barataszwili zaliczane są poematy: „Los Gruzji", (1839), „Merani" (1842), „Mogiła cesarza Iraklia" (1842).

Centralne uroczystości dla uczczenia 150-tej rocznicy urodzin wielkiego gruzińskiego poety, odbyły się w stolicy Gruzji, Tbilisi. Przybyli tu na jubileuszowe uroczystości bardzo liczni goście ze wszystkich republik ZSRR i z zagranicy. Uroczystości, które trwały

Nikoloz M. Barataszwili.

przez cztery dni zainaugurowało wspólne plenum Zarządu Związku Pisarzy ZSRR i Zarządu Związku Pisarzy Gruzji. — W prastarym i wiecznie młodym, sławnym mieście Tbilisi, stolicy bratniej Gruzji, wraz z wami wstępujemy dziś w świat najpiękniejszej poezji, obchodząc 150-lecie urodzin wielkiego gruzińskiego poety i myśliciela Nikoloza Barataszwili — powiedział radziecki pisarz N. Tichonow. Odczytano wiersze poety w różnych językach. W tłumaczeniu na język polski czytał wiersze nasz poeta L. Lewin.

WILLIAM FAULKNER O SOBIE

□ Niedawno w Stanach Zjednoczonych ukazał się zbiór zawierający 29 dialogów z Williamem Faulknerem, przeprowadzonych przez przedstawicieli rozmaitych pism różnych krajów. Oto dwa fragmenty wypowiedzi Faulknera, zaczerpnięte ze zbioru:

„Nigdy nie byłem zapalonym podróżnikiem, który chciałby zobaczyć jak najwięcej miejscowości. Nigdy nie miałem aparatu fotograficznego. Piękne krajobrazy i ruiny nie pociągały mnie. Lubię wpatrywać się w twarze i odgadywać co wyrażają zmarszczki, co oznacza dany wyraz twarzy, jaki los wyrył na niej swe piętno. Jakie życie, jakie kłopoty, nadzieje lub cierpienia uczyniły tę twarz taką jaka jest".

„Jestem nieudanym poetą. Być może każdy powieściopisarz początkowo chciał być poetą, ale przekonawszy się, że nim być nie może, próbuje swych sił w pisaniu krótkich opowiadań, najtrudniejszej formy literackiej po poezji. I dopiero doznawszy niepowodzenia, zabiera się w końcu do tworzenia powieści".

MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻEK

□ W dniach od 6 do 13 października br. odbędą się w Sofii Międzynarodowe Targi Książek. Przewidziane też są Dni Poezji, które zostaną na początku października zainaugurowane konferencjami i odczytami w monasterze w Rila.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Pisałem niejednokrotnie w Notatniku o imprezach Międzynarodowej Kampanii Muzealnej, która w Łodzi i województwie znalazła tak żywe i atrakcyjne odbicie. Czas więc rzec słowo na koniec akcji, a będą to słowa które brzmią dumnie. W ciągu 10 miesięcy Kampanii muzea Łodzi i województwa zorganizowały 70 wystaw przez które przewinęło się ponad 221 tys. osób. Sumujmy dalej — 654 odczyty (28 tys. słuchaczy) plus 222 wystawy oświatowe (130 tys. osób). Zabawmy się w buchaltera. Było więc 946 imprez muzealnych dla ok. 380 tys. osób. W ciągu 10 miesięcy czyli 300 dni. A więc ponad 3 imprezy dziennie, a więc każdy dzień bilansował się liczbą ponad tysiąca słuchaczy i widzów. To już nie kampania muzealna — to była po prostu zmasowana ofensywa, to był atak... W tak energicznie i efektywnie prowadzonej wojnie kulturalnej niech nigdy nie będzie zawieszenia broni.

WTOREK

„Budź zdarow szkolar" — tak brzmiał tytuł książeczki Okudżawy, którą u nas nazwano „Jeszcze pożyjesz". „Budź zdarow Trzeciak" — miałem ochotę zawołać po spektaklu monodramu opartego na tej książce jaki ten utalentowany aktor zaprezentował w Klubie Dziennikarza. Franciszek Trzeciak bowiem zrobił coś co mało komu się udaje. Wzruszył nas — autentycznie wzruszył widownię, która już niejedno widziała. Powie ktoś — ba, z tekstem Okudżawy nie trudno. Nieprawda. „Jeszcze pożyjesz" książką genialną nie jest, a Okudżawa jest lepszym pieśniarzem i poetą niż prozaikiem. Sukces Franciszka Trzeciaka polegał więc głównie na jego aktorskich umiejętnościach, na odpowiedniej selekcji tekstu i na prostym zabiegu włączenia w monodram piosenek Okudżawy. W sumie otrzymaliśmy rzecz nie tylko wzruszającą i piękną, ale i o wysokich walorach ideowych i artystycznych. Mam nadzieję, że aktorski trud Franciszka Trzeciaka nie pójdzie na marne, że jego monodram — kameralna piękna impreza zawędruje do klubów, świetlic i szkół.

ŚRODA

Niemało obrazów namalował Stefan Just w czasie swej 35-letniej działalności artystycznej. Nie mało ich — choć to przecież cząstka — na wystawie jubileuszowej w Ośrodku Propagandy Sztuki. Skala malarskich możliwości artysty — olbrzymia. Portret i pejzaż, kompozycje historyczne i współczesne, architektura i krajobraz... Malowane z myślą o ludziach i dla ludzi — bliskie odczuwaniu szerokiego odbiorcy a nie tylko krytyka z wyrafinowanym smakiem. Dobre, rzetelne malarstwo przy którym można się zamyślić, na które można patrzeć... Malarstwo rodem z dobrej artystycznej szkoły rodem z życia nie z archetypów Junga i wydumanej filozofijki. Polecam tę wystawę nie tylko z obowiązku kronikarza, ale także jako sympatyk, tego rzetelnego malarstwa.

CZWARTEK

O scenach amatorskich pisze się nawet dysertacje naukowe, choć nie bardzo wiem po co. Jest to bowiem sytuacja, że czyjś zapał i bezinteresowność, czyjaś pasję historyk zamienia w szereg suchych formuł. Byłbym jednak za tym, aby ktoś napisał dobrą książkę — reportaż o Łódzkiej Scenie Amatora, aby pokusił się oddać niepowtarzalną atmosferę pracy tej znakomitej placówki działającej w Łódzkim Domu Kultury. Właśnie dziś odbyło się tu kolejne spotkanie w ramach Łódzkiej Sceny Amatora. Powiedziano wiele słusznych słów na temat teatru jako ważnego czynnika aktywizacji kulturalnej ludzi pracy oraz wystawiono „Golgotę-Audytorium czyli ostatni występ Majakowskiego". Dla mnie nie ulega wątpliwości że ŁSA jest chyba jedną z najciekawszych form doskonalenia instruktorów teatrów amatorskich. I to chyba w skali całego kraju. Można mieć zaufanie do placówki w której referaty instruktażowe i teoretyczne wygłaszają praktycy z dorobkiem w swojej dziedzinie a nie „urzędnicy od kultury". A tak właśnie jest w ŁDK. I to budzi zaufanie.

PIĄTEK

W nowym sezonie kulturalnym ruszamy żwawo z kopyta. Tzw. nabór kandydatów do dziesiątków działających w Łodzi zespołów amatorskich trwa... Także słynne już „Włókniarskie słowiki" przyjmują zapisy chłopców w wieku 8—11 lat. Niech rady rodzinne zdecydują czy Jaś lub Staś ma talent i niech próbują szczęścia. Z braku miejsca podaję tylko telefony — 464-33, 451-02, 345-14. A może coś dla nieco starszych? Proszę bardzo! Klub ZPB im. Armii Ludowej pożąda sopranów, mezzosopranów, altów, tenorów, barytonów, i basów. Czyli do wyboru, do koloru. Każdy znajdzie w tym katalogu coś dla siebie. Państwo życzą numer telefonu? Się robi — 489-40 w. 231.

SOBOTA

Olgierd Missuna napisał kiedyś „Warszawski Pitaval Literacki" i była to książka pasjonująca. Niech więc ktoś napisze Łódzki Pitaval Artystyczny. I to współczesny. Warto. Ostatnio bowiem sporo osób się prawuje w tym środowisku. Aktorka Staniszewska ma żal do „Ruchu", że rozpowszechnia jej fotki z „Krzyżaków", z kolei do malarza Kondka ktoś inny ma żal, że wyraził się źle o jego amatorskim dziele... W swoim czasie pewien pan miał żal do Wydziału Kultury, że nie otrzymał nagrody w konkursie literackim na powieść. Aktor-statysta skarżył niedawno reżysera W. że ten mu się kazał ślizgać po namydlonej podłodze w wyniku czego statysta złamał rękę... Ludzie, temat wisi na wokandzie — napiszcie nowe „Sceny z życia cyganerii"!

NIEDZIELA

Zamyślenie nad numerem „Kameny". Zamyślenie jubileuszowe, choć to już 400 numer tego pisma literackiego i 35 lat edycji. Pismo wciąż żywe, przed laty założył je nestor poetów Kazimierz Andrzej Jaworski, a dziś prowadzi je jego syn. Pismo żywe, ale jego ostatni, jubileuszowy numer każe mi myśleć o przemijaniu. Spotykam tam wiersze sprzed lat 35 — wiersze Stanisława Piętaka, który w tym samym redakcyjnym pokoju, gdzie pisze te słowa, przyjmował przed kilkunastu laty nasze debiutanckie wiersze... Spotykam wreszcie wspomnienie o Wacławie Mrozowskim, który zwiał się po wojnie z Łodzią i na łódzkim cmentarzu jest jego grób. To ci, których znaliśmy i którzy odeszli... Ale jest tam także przejmujący wiersz polityczny Marii na Piechala, który proroczo widział drogi historii przed 35 laty... Lublin daleko od Łodzi? Nieprawda. Ten Lublin jaki wychyla się ku nam z łamów „Kameny" jest nam bardzo bliski. I pismo to — żywe a zamyślone nad przeszłością — także jest nam bliskie.

JERZY WIDOK

Bez strachu

WSTĘP, ROZWINIĘCIE, ZAKOŃCZENIE

Uczono mnie w szkole, że z tych właśnie części powinno składać się wypracowanie — po dziś dzień tak nauczają dzieci... Trudno niezmiernie powiedzieć, czy to dobra i prawdziwa nauka, trudno odpowiedzieć, czy odpowiada ona zmiennej strukturze świata i prac ludzkich. Jeżeli ktoś kupuje różę aby postawić ją sobie w wazonie — stara się kupić różę mało rozwiniętą, pąk prawie i potem obserwuje rozwinięcie pąka i wreszcie zakończenie poprzez opadanie nadmiernie rozwiniętych płatków. Już kupując kwiat zakłada i wie, że kupuje kwiat chwilowy, który nacieszywszy go barwą i wonią rozpadnie się w jego oczach. Kiedy siedzę sam w pokoju słyszę za oknem powoli wzbierający warkot motoru zbliżającego się pojazdu, warkot ten osiąga punkt kulminacyjny i powoli milknie... wiem wtedy, że pojazd minął mój dom, przejechał, podobnie jak uprzednio patrząc na ostatni opadły płatek wiedziałem, że przeminęła róża... Tak przecież nie jest zawsze — oto ktoś zapuszcza motor stojącego przed domem pojazdu, zapuszcza go natychmiast z całkowitą mocą i utrzymuje ten bezcelowy, nie związany z przejazdem ryk przez nieskończenie długie chwile nocy. Oto ktoś dał mi sztuczną różę i róża ta stoi w wazonie. Wazon jest suchy, ponieważ róża nie przemija, jest martwa, pozbawiona godności życia i śmierci. Pojazd stoi nieruchomo, ponieważ ktoś zapuścił motor, chcąc wypróbować jego działanie, bądź zrobił to dla zabawy. Otóż najbardziej nawet hałaśliwy przejazd pojazdu nie przeszkadza mi w pracy, co więcej, lubię ten natężający się i zanikający warkot, natomiast głośno i długo ryczący motor męczy, przeszkadza w pracy — burzy poczucie sensu i logiki zdarzeń. Podobnie przykra, bo destrukcyjna jest owa sztuczna róża — stoi w wazonie bez wody — imituje nie tylko barwę żywego kwiatu, ale także jego fizjologię — stoi bowiem w wazonie, a przecież to wazon bezwodny — ta róża nie jest nawet martwą różą, jej płatki nie rozwiną się, nie opadną, imituje różę w jednej tylko fazie jej trwania — w fazie pełnego rozkwitu. Motor, który stale warczy z maksymalną jednostajną mocą, róża, która zastygła w ustawicznym rozkwicie... sprawy bez Wstępu, Rozwinięcia, Zakończenia to sprawy martwe — motor nieruchomego pojazdu, sztuczna róża. Wyobraźmy sobie człowieka, który przemówił natychmiast po wychyleniu głowy z kołebeczki — zaczął gaworzyć o Platonie, egzystencjalizmie, alienacji, strukturalizmie itd. potem człowiek ów rozrastając się fizycznie traf kotałby uczenie na tę samą modłę, uwzględniając oczywiście należycie zachodzący postęp kultury i wreszcie jako zgrzybiały starzec — tuż przed wydaniem ostatniego tchnienia wypowiadałby błyskotliwe, trafne i aktualne myśli. Człowiek ten przeminąłby strugą elastycznej dojrzałości, doskonale racjonalnej, bez uroczego nadrealistycznego bełkotu niemowlęcia, bez sklerotycznego zasklepienia myśli znamiennego niekiedy dla starców, w którym to zasklepieniu jestem skłonny doszukać się pewnych wartości: np. dokumentalnego niejako przetrzymania kultury myślenia minionej epoki — dającego młodym możliwość osobniczego dotykalnego kontaktu z tą kulturą. Kto wyrzekłby się tego dla stabilizacji dotyczącej nawet optymalnej fazy rozwojowej?!

BERNARD SZTAJNERT

ARTUR CONAN DOYLE

Oczy kobiety

Lekarzowi z prywatną praktyką, który rano i wieczorem przyjmuje chorych w domu, a w ciągu dnia ma jeszcze kilka wizyt na mieście, trudno jest znaleźć trochę czasu, aby odetchnąć świeżym powietrzem. W tym celu powinien wstać nieco wcześniej i wyjść na ulicę o tej porze, kiedy sklepy są jeszcze zamknięte, powietrze czyste i świeże, a wszystkie przedmioty są wyraźnie zarysowane, jak to bywa często podczas mrozu.

Mieszkałem nad morzem w miasteczku dość nędznym, położonym w pobliżu wielkiego miasta. Zapominałem jednak o jego wszelkich niedostatkach i wadach, gdy zajmowałem miejsce na ławeczce przy brzegu morza: u moich stóp rozpościerała się olbrzymia błękitna płaszczyzna zatoki obramowana półksiężycem żółtego piasku. Lubię gdy jest wypełniona rybackimi łódkami; lubię, kiedy na horyzoncie przesuwają się wielkie okręty: samego statku nie widać, a tylko mała chmurka wydętych przez wiatr żagli majestatycznie przepływa w oddali. Ale najbardziej lubię, gdy oświetlają je ukośne promienie słońca, nagle wybiegając zza pędzonych przez wiatr chmur, a dokoła na wiele mil nie ma nawet śladu człowieka, który mógłby zakłócić swoją obecnością majestat Przyrody.

Pewnego dnia napotkałem mojego starca. Już miałem zamiar odejść, gdy on podszedł do ławki. Zauważyłbym go nawet w tłumie. Był to mężczyzna potężnie zbudowany, ze szlachetnym wyrazem twarzy. Z trudnością wspinał się po stromej ścieżce, ciężko opierając się na lasce, jakby ogromne ramiona były już zbyt wielkim bagażem dla jego słabujących nóg. Gdy podszedł bliżej, zobaczyłem niebieskawy odcień jego warg i nosa, ostrzegający znak Przyrody, mówiący o przemęczonym sercu.

— Jest to zbyt uciążliwe podejście, sir. Jako lekarz radziłbym panu trochę odpocząć, a potem iść dalej — powiedziałem do niego.

Z szacunkiem, trochę staromodnie, ukłonił się i usiadł na ławce. Czułem, że nie chce rozmawiać i także milczałem, ale nie mogłem nie obserwować go kącikiem oka. Nie wiem w jaki sposób doszedł do nas ten przedstawiciel pokolenia początku ubiegłego stulecia: w kapeluszu o zagiętym rondzie, w czarnym aksamitnym krawacie i z wielką miesistą dokładnie wygolona twarzą, pokryta siecią zmarszczek. Oczy te, zanim jeszcze wyblakły, patrzyły z karet pocztowych na kopaczy budujących pierwsze odcinki kolei żelaznej, usta te uśmiechały się przy czytaniu pierwszych wydań „Klubu Pickwicka" i mówiły o ich autorze — młodym, obiecującym wówczas pisarzu. Twarz ta była swego rodzaju zapisem ubiegłych lat siedemdziesięciu, na której zarówno społeczne jak i osobiste wydarzenia zostawiły swój ślad; każda zmarszczka świadczyła o czymś, co się stało: na przykład ta na czole pozostała z czasów powstania sipajów, ta — z kampanii krymskiej... Póki fantazjowałem w taki oto niezbyt wymyślny sposób, starszy gentleman z lakierowaną laską jakby zniknął z mojego pola widzenia i przed mymi oczyma pozostało jedynie życie narodu z okresu ostatnich siedemdziesięciu lat.

Ale on wkrótce przywrócił mnie rzeczywistości. Odpocząwszy, wyjął z kieszeni list, włożył okulary w rogowej oprawie i bardzo uważnie przeczytał go. Nie miałem zamiaru podpatrywać, ale zauważyłem, że list był napisany kobiecą ręką. Mężczyzna przeczytał list dwukrotnie i w dalszym ciągu siedział nieruchomo, z opuszczonymi kącikami ust, patrząc gdzieś w przestrzeń nad zatoką nic nie widzącymi oczami. Nigdy nie widziałem bardziej samotnego i porzuconego starca. Wszystko dobre, co było we mnie, obudziło się na widok tego smutnego oblicza. Wiedziałem jednak, że on nie miał ochoty na rozmowę, a oprócz tego oczekiwali mnie pacjenci w szpitalu, toteż pozostawiłem go na ławce w samotności.

Ani razu nie pomyślałem o nim, aż do następnego poranka, gdy o tej samej porze pojawił się i usiadł obok mnie na ławce, którą już uważałem za swoją. A on znowu ukłonił się zanim usiadł, ale, jak i wczoraj, nie miał chęci na rozmowę. Zmienił się w ciągu ostatniej doby i to na gorsze. Twarz stała się jakaś cięższa i przybyło jej zmarszczek, a mężczyzna oddychał z jeszcze większą trudnością i odcień niebieskawy stał się bardziej wyraźny. Twarz pokryta jednodniowym zarostem wykrzywiała prawidłowa linię jego policzków i podbródka, a on już nie trzymał swojej głowy tak dumnie jak przedtem, na co od razu wczoraj zwróciłem uwagę. W rękach trzymał list, ale nie wiem, czy to był ten sam list, czy też inny, także napisany kobiecym charakterem pisma. W starczy sposób mruczał nad nim, marszczył brwi i zaciskał wargi jak kapryśne dziecko. Pozostawiłem go z niezbyt jasnym jeszcze pragnieniem dowiedzieć się kim on jest i jak to się stało, że zaledwie jeden wiosenny dzień aż do tego stopnia mógł przemienić mu twarz.

Mężczyzna ten tak mnie zainteresował, że następnego ranka oczekiwałem jego pojawienia się z niecierpliwością. Znowu zobaczyłem go o tej samej porze: powoli wspinał się, zgarbiony, z nisko opuszczoną głową. Kiedy podszedł — byłem zdumiony tą zmianą jaka w nim nastąpiła.

— Obawiam się, że to powietrze dzisiaj nie jest zbyt dobre dla pańskiego zdrowia, sir — powiedziałem do niego.

Prawdopodobnie trudno mu było rozmawiać. Spróbował coś mi odpowiedzieć, ale było to jakieś mruczenie, dlatego umilkł. Jak strasznie zniszczonym wydał mi się ten człowiek, wyglądał starzej o dziesięć lat w porównaniu z tym dniem, kiedy po raz pierwszy go zobaczyłem. Przykro mi było patrzeć na tego szlachetnej rasy człowieka, który po prostu niknął w moich oczach. Trzęsącymi się palcami rozerwał swój list... Kim była kobieta, która tak na niego działała? Może córka, albo wnuczka, będąca w tej chwili jedyną radością jego istnienia... Uśmiechnąłem się, spostrzegłszy jak szybko skomponowałem całą historię dotyczącą nie ogolonego starca i jego listów, nawet już zaczynałem się nią wzruszać. A mimo to znowu myślałem o nim cały dzień, a przed moimi oczyma wciąż były te same starcze, trzesące się ręce z sinymi żyłkami, rozwijające list.

Nie miałem nadziei, że go jeszcze znowu zobaczę. Wystarczy jeden taki jak ten dzień i będzie musiał położyć się, albo zostać w domu. Jakież było moje zdziwienie, gdy następnego ranka znowu go zobaczyłem na ławce. Ale podszedłszy bliżej zacząłem wątpić czy to naprawdę on. Taki sam kapelusz z zawiniętym rondem, ta sama lakierowana laska i te same okulary w rogowej oprawie, ale gdzie się podziało starcze pochylenie ramion i zarośnięta, posiniała twarz? Policzki były gładko wygolone, zaciśnięte usta, błyszczące oczy, a jego wspaniała głowa znowu dumnie spoczywała na potężnych ramionach. Prosto, niczym młody grenadier, siedział na ławce i nie wiedząc na czym wyładować nadmiar tkwiącej w nim energii, odrzucał laską kamyki. W klapie jego czyściutkiej marynarki znajdował się kwiat o złocistym odcieniu, a z kieszonki wystawała czerwona jedwabna chusteczka. Teraz można było go wziąć za starszego syna tego starca, który siedział tutaj ubiegłego poranka.

— Dzień dobry panu, dzień dobry! — wykrzyknął starzec wesoło, wymachując laską na znak przywitania.

— Dzień dobry — odparłem. — Jakie wspaniałe dziś morze!

— Tak, ale gdyby pan je zobaczył przed wschodem słońca!

— Tak wcześnie pan tu przyszedł?

— Ledwie ta ścieżka stała się widoczna, już tutaj byłem.

— O tej porze pan wstaje...

— Nie zawsze, sir, nie zawsze. — Spojrzał na mnie badawczo, jak gdyby starając się sprawdzić, czy jestem godzien jego zaufania. — Widzi pan, chodzi o to, że dzisiaj wraca moja żona.

Prawdopodobnie na mojej twarzy ukazał się wyraz świadczący o tym, że ja nie zupełnie doceniam wagę i znaczenie informacji, jaką mi przed chwilą przekazano, ale w tym samym czasie dostrzegłszy współczucie w mych oczach mężczyzna przesunął się do mnie bliżej i zaczął mówić cichym głosem, jakby to co chciał mi przekazać w sekrecie było tak ważne, że nawet mewom nie można było zaufać.

— Czy jest pan żonaty, sir?

— Nie.

— W takim razie nie wiem, czy uda się panu to zrozumieć!... Proszę sobie wyobrazić, że pobraliśmy się pięćdziesiąt lat temu i nigdy przedtem nie rozstawaliśmy się, nigdy.

— Czy na długo wyjeżdżała pańska żona? — spytałem.

— Tak, na cztery dni. Widzi pan, ona musiała pojechać do Szkocji. Miała tam pewne sprawy do załatwienia. Chciałem z nią jechać, ale lekarze mi zabronili. Nie posłuchałbym ich, oczywiście, gdyby nie żona. Teraz już, chwała Bogu, wszystko się skończyło, dziś ona przyjeżdża i oczekuję jej pojawienia się tutaj w każdej chwili.

— Tutaj?

— Tak, sir. To miejsce i ta ławka są naszymi starymi przyjaciółmi prawie trzydzieści lat. Bo wie pan, ludzie z którymi się stykamy — nas nie rozumieją. Dlatego uciekamy od nich, dlatego wolimy samotność, która bardziej nam pozwala być razem. I spotykamy się tutaj. Dokładnie nie wiem jakim pociągiem ona przyjedzie, ale gdyby przyjechała najwcześniejszym, zastałaby mnie od razu tutaj.

— W takim razie... — powiedziałem wstając.

— Ależ nie, proszę nie odchodzić, jeśli tylko nie znudziła się panu moja opowieść.

— Przeciwnie. Bardzo mnie zainteresowała — odrzekłem.

— Ileż ja przeżyłem w ciągu tych czterech dni! Panu chyba wyda się to dziwne, że starzec może tak kochać.

— O, to jest piękne.

— Proszę mi wierzyć, że nie o mnie tu chodzi! Każdy na moim miejscu czułby się właśnie tak, gdyby miał taką żonę jak moja. Prawdopodobnie, patrząc na mnie, myśli pan, że i ona jest stara?

Sama myśl o tym wydała mu się tak śmieszna, że nie wytrzymał i roześmiał się głośno.

— Proszę mi wierzyć, że ludzie tacy jak ona, zawsze są młodzi duchem, dlatego nigdy się nie starzeją. Według mojego przekonania, ona się zupełnie nie zmieniła od tego czasu, gdy po raz pierwszy wzięła w swoje ręce moją dłoń, a było to w 1845 roku. Teraz, być może, jest ona trochę otyła, ale to nawet lepiej, bo jako panna była bardzo szczupła. Ja nie byłem człowiekiem z jej środowiska: pracowałem jako urzędnik w biurze jej ojca. O, była to niezwykle romantyczna historia. Zdobyłem ją. I nigdy nie przestanę cieszyć się ze swojego szczęścia. Pomyśleć tylko, że taka piękna, taka niezwykła dziewczyna zgodziła się przejść ze mną przez całe życie i że ja mogłem...

Umilkł nagle. Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Drżał całym swoim potężnym ciałem, ręce wbiły się w ławkę, a nogi bezradnie ślizgały się po żwirze alejki. Zrozumiałem: on próbował wstać, ale nie mógł, gdyż był za bardzo zdenerwowany. Już wyciągnąłem do niego rękę, ale w tym momencie zwyciężyło we mnie inne uczucie, uczucie delikatności i taktu, dlatego odwróciłem się i zacząłem patrzeć na morze. Po chwili mężczyzna wstał już o własnych siłach i począł schodzić w dół ścieżką.

Naprzeciwko niego pojawiła się kobieta, była już zupełnie blisko, około trzydziestu yardów. Nie wiem czy była ona kiedykolwiek taka, jaką mi opisał w swej opowieści nieznajomy mężczyzna znad brzegu morza, czy też był to jedynie ideał jaki stworzyła jego wyobraźnia. Zobaczyłem kobietę otyłą i bezkształtną, jej opalona twarz pokrywał zdrowy rumieniec, trochę śmiesznie wyglądała ona w zbyt obcisłej spódnicy, a zielona wstążka na kapeluszu po prostu działała na patrzącego denerwująco. I oto miałem przed sobą tę wiecznie młodą piękność! Ścisnęło mi się serce na sama myśl o tym, że najprawdopodobniej ta kobieta zupełnie nie potrafi docenić go i chyba nie jest warta tak wielkiej miłości. Pewnym krokiem wspinała się po pochyłości ścieżki w tym czasie, gdy on utykając z wysiłkiem szedł na jej spotkanie. Starając się być niezauważonym, podpatrywałem ich. Widziałem jak podeszli do siebie, jak on wyciągnął do niej ręce, lecz ona, nie chcąc widocznie, by ktoś jeszcze był świadkiem tej sceny powitania, uścisnęła tylko jedną jego dłoń. Ale widziałem jej twarz w tym momencie i już byłem spokojny o mojego starca. Daj Boże, aby na starość, gdy moje ręce będą się trzęsły, a plecy ugną się pod ciężarem przebytego czasu, daj mi Boże, by także i na mnie właśnie tak patrzyły oczy kobiety.

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

Zbigniew Lagocki. Erotika.

Lewym okiem

OKNO NA CELEBES

Jest takie krótkie, sugestywne opowiadanie Kuncewiczowej o żółwiu, chowanym w domu. Opowiadanie należy do serii, poświęconej w ogóle zwierzętom, ale zwierzętom rozumianym jako krewni człowieka, obdarzeni psychologią, pamięcią, zdolnością odczuwania. Jeden tylko żółw nie dał się nijak zrozumieć. Może za daleki krewny?

Żółwie w domu to raczej rzadkość. Ale na dziesiątki i setki tysięcy liczyć można miłośników rybek — są tacy w każdym mieście i miasteczku, we wszystkich krajach naszej części świata. Czy można mówić o jakimś „kontakcie duchowym" człowieka z rybką? Bo przecież hodowanie żywych zwierząt wynika chyba z potrzeby takiego kontaktu, z potrzeby opiekowania się żywą istotą. Jaki może być kontakt przez szybę akwarium, przez granicę żywiołu powietrza z żywiołem wody, żywiołu dźwięku z żywiołem absolutnego milczenia?

W parku na Julianowie stoi nad stawem tablica: łowienie robaczków wzbronione. W helenowskim parku też stoją takie tablice. W obydwu parkach całe gromady dzieci, młodzieży i dorosłych ciągną ze słoikami w rękach, z siateczkami na drucie, kucają tuż pod groźną tablicą, robaczki są potrzebne, rybki czekają na robaczki. Na Czerwonym Rynku z lewej strony pod parkanem w każdą sobotę spotkacie kilkunastu przekupniów, których cały towar stanowi mrowiący się w gąsiorze czerwony, żywy pył. Widocznie i z tego można żyć, z helenowskich robaczków. Czyli — w ujęciu szerszym — z czyjegoś upodobania do rybek.

Już wiem: to nie jest upodobanie hodowcy. Ani nie — tak zwane ukochanie przyrody żywej. Akwarium w domu to właśnie ma być okno na absolutnie inny świat, na inną planetę. Akwarium jest także elementem dekoracyjnym, zdobiącym mieszkanie: ładna, żywa zieleń roślin, złoty piasek, kolorowe kamyki, błyski świateł w szybach, tęczowe iskierki — rybki, ich taneczne pląsy, powiewne wachlarze „welonów", zdziwione oczy „teleskopów", pawie oczka żyworodków. Ale ważniejszy jest chyba tamten motyw: mieć w ciasnym, czasem smutnym, nieciekawym i mrocznym wielkomiejskim kąciku okruch wielkiego, tajemniczego świata, mikroskopijną próbkę prawdziwej egzotyki.

Można zapatrzyć się w taką szybę bardziej niż w ekran telewizora. Za tą szybą nikt niczego nie reżyseruje, tam się coś dzieje samo, nie ulegając niczyim wpływom. Można się wpatrzyć i wyobrażać sobie Bóg wie co: szływ czółnem po Amazonce, dżungle Celebesu i koralowe wyspy z uroczych nowel Makarczyka. Stary fryzjer, u którego strzygę się od lat, ustawił sobie akwarium obok kasy. Po załatwieniu każdego gościa podchodzi, puka palcem w szybę i przygląda się ożywieniu, jakie ogarnia na chwilę złote mieszkanki tamtego świata. Co sobie przy tym wyobraża stary fryzjer, z trudem podnoszący nogi na swoje trzy schodki przed wejściem do zakładu? Może te rybki dodają mu siły do ułożenia następnej plerezy? Do czegoś mu są w każdym razie potrzebne, wzbogacają jego monotonny, długi, dwunastogodzinny dzień pracy.

Nic nie szkodzi, że ta prawdziwa egzotyka nie jest zupełnie prawdziwa. Obawiam się, że gdzieś w Honolulu, albo w Dżakarcie ktoś w domu ma takie same rybki i też na ich widok wyobraża sobie egzotyczne kraje — takie jak Polska, Francja, Norwegia. Te rybki od dawna nie żyją w żadnych Amazonkach, tak samo — jak nigdzie na świecie od dawna nie ma swobodnie żyjących morskich świnek. Jeszcze jedna zabawka, cacko, złudzenie, symbol. Trzeba mieć bogatą, czynną, żywą wyobraźnię, żeby symbol wystarczył dla poruszenia różnych strun w duszy ludzkiej, żeby nie pozwolił im rdzewieć.

Miłośnicy akwarium są ludźmi z wyobraźnią.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Karol Badziak, Halina Bekowa (red. techn.), Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Jerzy Wilmański, Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź ul. Żwirki 17. Zam. 2528. IX. 68. P-5.